

# NELSON DE MILLE

AUTOR **BESTSELLERÓW** *GRA LWA* i *SZKOŁA WDZIĘKU*

*Droga do prawdy  
najeżona jest licznymi  
niebezpieczeństwami...*

Z BIEGIEM ★ RZEKI

 **Fabryka  
sensacji**

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Nelson DeMille

Z BIEGIEM RZEKI



Warszawa 2012

Tytuł oryginału: *Up Country*

Copyright © Nelson DeMille 2002

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Tłumaczenie: Krzysztof Dworak

Redakcja: Studio Wydawnicze 69, Olsztyn

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński

Skład: Studio Wydawnicze 69, Olsztyn

ISBN: 978-83-7670-506-4



[www.fabrykasensacji.pl](http://www.fabrykasensacji.pl)

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

[www.buchmann.pl](http://www.buchmann.pl)

Konwersja:



**D e d y**

*Tym, którzy odpowiedzieli  
na wezwanie.*

## Od autora

Przedstawiony w książce opis współczesnego Wietnamu opiera się po części na moich doświadczeniach ze stycznia i z lutego 1997 r., kiedy powróciłem do tego kraju po dwudziestodziewięcioletniej nieobecności. Restauracje, hotele, dawna ambasada USA i inne ukazane tu miejsca istniały w roku 1997, w którym toczy się akcja tej opowieści.

**M**

**O**

**t**

*Prawda istnieje. Wymyśla się tylko kłamstwo.*

Georges Braque

**D**      **W**      **K**      **A**      **S**      **S**      **I**      **Z**      **E**<sub>2</sub>  
**Y**      **S**      **T**      **R**



Nieszczęścia chodzą trójkami.

Pierwszym była wiadomość głosowa od Cynthii Sunhill, mojej dawnej partnerki w wojskowym CID<sup>1</sup>. Cynthia nadal pracuje w CID, poza tym wciąż jest moją dobrą znajomą, mimo że mieliśmy pewne trudności w określeniu zakresu naszych obowiązków.

Wiadomość brzmiała: „Paul, mam z tobą do pogadania. Zadzwoń do mnie jeszcze dzisiaj, nawet w nocy. Właśnie wezwano mnie do pewnej sprawy i muszę wyjechać jutro rano. Powinniśmy porozmawiać”.

- Dobra - powiedziałem sam do siebie. Spojrzałem na staroświecki zegar stojący w mojej kwaterze. Wskazywał dziesiątą wieczór czy też dwudziestą drugą, jak mawiałem jeszcze niedawno w armii.

Mieszkam w kamiennym wiejskim domu niedaleko Falls Church, w Wirginii, o mniej niż pół godziny jazdy od kwatery głównej CID. Zresztą czas dojazdu jest już bez znaczenia, odkąd przestałem dla nich pracować. Dla nikogo już nie pracuję. Jestem na emeryturze, albo może zostałem zwolniony. Tak czy inaczej minęło pół roku od mojego zerwania z armią i zaczynałem się już nudzić, a przecież wciąż zostało mi jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat życia.

Wracając do panny Sunhill, stacjonowała w Forcie Benning w Georgii, około czternastu godzin samochodem z Falls Church. Dwunastu, kiedy naprawdę mi się spieszyło. Cynthia ma napięty harmonogram, a weekendy w armii często nie różnią się od dni służby. Ostatnie sześć miesięcy nie były łatwe dla naszego relatywnie świeżego związku - z całą tą jej karierą i uzależnieniem od talk shows nie mamy sobie za wiele do powiedzenia.

Drugie nieszczęście: sprawdziłem pocztę i znalazłem wiadomość, która oznajmiała krótko: „16:00, jutro, Ściana”. Była podpisana inicjałem K.

„K.” to pułkownik Karl Hellmann, mój dawny szef w kwaterze głównej i obecny przełożony Cynthii. Tyle było jasne. Nie miałem jednak pojęcia, dlaczego Hellmann chciał się ze mną spotkać pod pomnikiem ku czci poległych w Wietnamie. Instynktownie zaszufłkowałem to jako problem.

Zważyłem w myślach kilka treściwych odpowiedzi. Żadna z nich nie była zbyt pozytywna. Oczywiście wcale nie musiałem odpowiadać, przecież odszedłem ze służby. W przeciwieństwie jednak do cywilnych karier wojskowa nigdy całkiem się nie kończy. Jest takie powiedzenie: „raz w armii, zawsze w armii”. Ja zaś byłem technicznym oficerem z rangi, a kryminalnym detektywem z zawodu.

Istnieje też jakieś prawo, które daje im pewną przewagę. Nie wiem nic konkretnego na ten temat, ale na pewno przynajmniej na rok mogą zawiesić przywileje w demobilach. Przyjrzałem się raz jeszcze wiadomości i zauważyłem, że była ona zaadresowana do pana Brennera. Do oficerów technicznych zwraca się per pan, zapewne więc miało mi to przypominać moją przeszłą - a może obecną -

rangę wojskową. Nie chodziło o uprzejmy cywilny zwrot. Karl nie bywał subtelny. Powstrzymałem się od odpowiedzi.

Ostatnim, choć nie najmniej ważnym nieszczęściem, był fakt, że najwyraźniej zapomniałem wysłać odpowiedź do mojego klubu książki. W skrzynce czekała już na mnie powieść Danielle Steel. Miałem ją zwrócić? Może dać matce na najbliższą gwiazdkę? Powinienem sprawdzić, kiedy ma urodziny.

Nie mogłem już dłużej odwlekać telefonu do Cynthii, usiadłem więc przy biurku i wybrałem numer. Czekając, aż podniesie słuchawkę, wyglądałem przez okno. W północnej Wirginii panowała zimna, styczniowa noc. Padał lekki śnieg.

W słuchawce rozległ się głos Cynthii:

- Halo.

- Cześć - odparłem, a po pół sekundy ciszy usłyszałem:

- Cześć, Paul. Jak się masz?

Po takim początku rozmowy pozostało mi tylko powiedzieć:

- Przejdźmy może od razu do rzeczy, Cynthio.

- Może mi najpierw powiesz, jak ci minął dzień? - zapytała po chwili wahania.

- Wspaniale. Stary sierżant z mesy dał mi przepis na chili. Nie miałem pojęcia, że był na dwieście osób, i zrobiłem je dokładnie tak, jak mi powiedział. Musiałem prawie wszystko zamrozić w torebkach strunowych. Potem poszedłem poćwiczyć i zagrałem mecz przeciwko gościom na wózkach inwalidzkich. Nie mieli ze mną szans. Na koniec skoczyłem do miejscowej tawerny na piwo z chłopakami. A co się działo u ciebie?

- Cóż... właśnie zakończyłam tę sprawę o gwałt, o której ci mówiłam. Ale zamiast wolnego dali mi następną. Mam jechać do fortu Rucker, żeby zbadać doniesienie o wykorzystywaniu seksualnym, co wydaje się dosyć śliskie. Będę tam aż do zakończenia dochodzenia. Pewnie kilka tygodni. Znajdziesz mnie w kwaterach oficerskich, jeśli będziesz chciał zadzwonić.

Nie odpowiedziałem.

- Wiesz, że ciągle wspominam Gwiazdkę? - dodała.

- Ja też - odparłem. Od tamtej pory się nie widzieliśmy, a minął już miesiąc. - Jakie są widoki na Wielkanoc?

- Wiesz, Paul... mógłbyś się przeprowadzić tutaj.

- Ale przecież w każdej chwili mogą cię przenieść, a ja bym tylko za tobą jeździł tam i z powrotem. Już o tym rozmawialiśmy.

- Tak, ale...

- Podoba mi się tu. Może ty byś się tutaj zatrudniła?

- Czy to poważna oferta?

„Rany!” - pomyślałem.

- To byłoby dobre dla twojej kariery. Kwatera główna - odparłem.

- Karierą już sama się zajmę. I nie chcę roboty papierkowej. Jestem oficerem śledczym. Tak jak dawniej ty. Chcę być tam, gdzie jestem naprawdę przydatna.

- W każdym razie nie chcę biegać za tobą jak szczeniak ani siedzieć w twoim mieszkaniu, kiedy jesteś w delegacji. Moje ego mogłoby zachorować.

- Mógłbyś się zatrudnić tutaj, w egzekutywie.

- Pracuję nad tym. W Wirginii.

I tak dalej. Nie jest łatwo, kiedy facet nie ma pracy, a kobieta podróżuje za robotą. Co gorsza, dowództwo lubi ci zmienić miejsce stałego zakwaterowania akurat wtedy, kiedy poczujesz się u siebie, co przynajmniej u mnie budzi pewne wątpliwości do ich rozumienia słowa „stały”. Do tego w dzisiejszych czasach istnieje masa miejsc tymczasowego zakwaterowania - jak choćby Bośnia, Somalia, Ameryka Południowa - gdzie można spędzić nawet rok, co nieco rozszerza definicję tymczasowości. Poza tym Cynthia i ja byliśmy oboje „geograficznie nieprzystosowani”.

Jak już mówiłem, wojsko nie wpływa zbyt dobrze na związki; to nie jest zwykła praca, lecz powołanie, zobowiązanie, które poważnie utrudnia podejmowanie jakichkolwiek innych zobowiązań. Często wręcz to uniemożliwia.

- Jesteś tam? - zapytała.

- Jestem.

- Nie możemy tego tak dalej ciągnąć. To bolesne.

- Wiem.

- Co więc zrobimy?

Wyglądało na to, że była zdecydowana zrezygnować z poważnej części swojej pensji w zamian za słowo na M. Zaczęlibyśmy gdzieś nowe życie, znaleźli nowe prace i żyli długo i szczęśliwie. W końcu dlaczego by nie? Kochaliśmy się.

- Paul?

- Tak. Zastanawiam się.

- Już dawno powinieneś zastanowić się nad tym wszystkim.

- Racja. Posłuchaj, myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym osobiście. Twarzą w twarz.

- Jediną rzeczą, którą w ten sposób robimy, jest pieprzenie się.

- Nie to miałem... dobra, porozmawiamy przy obiedzie. W restauracji.

- Umowa stoi. Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę z Rucker. Przyjadę tam albo ty tutaj.

- W porządku. A przy okazji jak tam twój rozwód?

- Już prawie załatwiony.

- To dobrze - odrzekłem, a nawiązując do jej kochającego męża zapytałem:

- Często widzisz majora Świra?

- Nie bardzo. W „Klubie O” od czasu do czasu. Nie da się tego uniknąć.

- Nadal chce, żebyś do niego wróciła?
- Nie komplikuj prostej sytuacji.
- Nie komplikuję. Martwię się tylko, czy znowu nie wpadnie na pomysł, żeby mnie zabić.
- Nigdy nie próbował cię zabić, Paul.
- Wiem, po prostu źle zrozumiałem aluzję, kiedy celował do mnie z nabitego pistoletu.
- Możemy zmienić temat?
- Jasne. Czytałaś kiedyś Danielle Steel?
- Nie, dlaczego pytasz?
- Kupiłem jej ostatnią książkę. Wyślę ci.
- Może twojej matce by się spodobała. Dziesiątego lutego ma urodziny, nie zapomnij.
- Pamiętam. Swoją drogą dostałem maila od Karla. Chce się ze mną jutro spotkać.
- Dlaczego?
- Myślałem, że może ty będziesz wiedziała.
- Nie mam pojęcia - odparła. - Może po prostu ma ochotę na drinka i rozmowę o dawnych czasach.
- Mamy się spotkać pod pomnikiem Wietnamu.
- Tak? To dziwne.
- Prawda? Nic ci nie mówił?
- Nie. A powinien?
- Nie mam pojęcia. Po prostu nie wiem, o co może mu chodzić.
- A czemu w ogóle miałoby mu o coś chodzić? Pracowaliście razem wiele lat. Lubi cię.
- Nonsens - zaprzeczyłem. - Nienawidzi mnie.
- Wcale cię nie nienawidzi. Przyznasz, że niełatwo się z tobą pracuje. Kocha się ciebie też niełatwo.
- Matka mnie kocha.
- Powinieneś to chyba sprawdzić. Wracając do Karla, szanuje cię i wie, że jesteś błyskotliwy. Albo potrzebuje rady, albo jakichś informacji o starej sprawie.
- Ale dlaczego przy Ścianie?
- Cóż, nie wiem. Dowiesz się, jak się spotkacie.
- U mnie jest zimno. Jak u ciebie?
- Kilkanaście stopni.
- Tutaj pada śnieg.
- Jedź ostrożnie.

- Oczywiście, że będę.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. W tym czasie myślałem o naszej przeszłości. Poznaliśmy się w Kwaterze Głównej NATO w Brukseli, była wtedy zaręczona z majorem Jak-Mu-Tam, z sił specjalnych. Zbliżyliśmy się do siebie, on się wkurzył i wyciągnął wyżej wspomniany pistolet. Wycofałem się, oni się pobrali, a rok później znów wpadliśmy z Cynthią na siebie.

Było to w klubie oficerskim w forcie Hadley w Georgii, oboje wykonywaliśmy jakieś zadania. Ja działałem pod przykrywką, badając kradzież i sprzedaż wojskowego uzbrojenia, ona zajmowała się sprawą gwałtu. Taką ma specjalność - przestępstwa na tle seksualnym. Wolałbym wrócić na front, niż zajmować się taką robotą. Ale ktoś to musi robić, a Cynthia jest w tym dobra. Co ważniejsze, potrafi jakoś odgrodzić się od tej pracy, tak że nie ma to na nią żadnego wpływu. Choć czasami nie jestem tego całkowicie pewien.

Ale wróćmy do fortu Hadley, do ostatniego lata. Kiedy tam byliśmy, na strzelnicy znaleziono nagą córkę dawnego dowódcy, kapitan Ann Campbell. Była przywiązana do palików, uduszona i najwyraźniej zgwałcona. Poproszono mnie, żebym zostawił swoją drobną sprawę handlu bronią, Cynthia miała mi asystować. Najpierw rozwiązaliśmy zagadkę morderstwa, a potem próbowaliśmy rozwiązać naszą wspólną, co okazało się dużo trudniejsze. W każdym razie Cynthia pozbyła się majora Świra.

- Paul, może zostawimy to na razie, aż do naszego spotkania?

- W porządku. - Sam to już wcześniej sugerowałem, ale nie chciałem jej tego przypominać. - Dobry pomysł.

- Musimy się wspólnie zastanowić, co trzeba będzie poświęcić i co dzięki temu zyskamy.

- Ćwiczyłaś już tę kwestię?

- Tak. Ale taka jest prawda. Posłuchaj, kocham cię...

- Ja też cię kocham.

- Wiem. I dlatego to jest takie trudne. - Znowu zapadła cisza. Po chwili Cynthia dodała: - Jestem od ciebie młodsza...

- Tak, ale ja jestem bardziej niedojrzała.

- Zamknij się, proszę. Lubię to, co robię, lubię swoje życie, karierę, niezależność. Ale zostawiłabym to wszystko, gdybym wiedziała...

- Rozumiem. Spoczywa na mnie duża odpowiedzialność.

- Nie chcę cię naciskać, Paul. Nie jestem nawet pewna, czy chcę tego, czego, jak mi się wydaje, chcę.

Jestem dość bystry, ale rozmowa z kobietą potrafi mnie skołować. Zamiast poprosić o wyjaśnienie, powiedziałem:

- Rozumiem.

- Naprawdę? - zapytała.

- Całkowicie - odpowiedziałem. Mimo że nie miałem zielonego pojęcia.

- Tęsknisz za mną?

- Codziennie - odparłem.

- Ja też tęsknię. Naprawdę. Nie mogę się doczekać, kiedy się spotkamy. Tym razem wezmę wolne, obiecuję.

- Ja też wezmę wolne.

- Przecież nie pracujesz.

- Racja. Ale gdybym pracował, wziąłbym wolne, żeby tylko być z tobą. Przyjadę do ciebie, tam jest cieplej.

- Dobrze, będzie mi miło.

- Lubisz chili?

- Nie.

- Wydawało mi się, że lubisz. Powodzenia w związku ze sprawą. Daj mi tylko znać, a następnego dnia się zjawię.

- Zejdą mi się pewnie ze dwa tygodnie. Może trzy. Powiem ci ile, jak już się wdrożę.

- Świetnie.

- I pozdrów ode mnie Karla. Ciekawa jestem, czego chce.

- Może opowie mi o tym, jak porwało go UFO.

Cynthia się roześmiała. I właśnie wtedy, kiedy już mieliśmy zakończyć rozmowę miłym akcentem, powiedziała:

- Wiesz, Paul, wcale nie musiałeś odchodzić z pracy.

- Doprawdy? - zapytałem. Sprawa córki generała od początku była trudna, prawdziwe polityczne, emocjonalne i zawodowe pole minowe ze mną pośrodku. Lepiej by było dla mnie, gdybym jej nie rozwiązał, bo dotyczyła rzeczy, o których wszyscy woleliby nie wiedzieć.

- Nagana w moich aktach - powiedziałem do Cynthii - to taki wojskowy sposób powiedzenia: „Zejdź ze stanowiska, oficerze”. Może trochę subtelny, ale...

- Myślę, że źle to wszystko zinterpretowałeś. Zostałeś zbesztany, przez co cały się naburmuszyłeś i zadziałałeś impulsywnie, bo urażono twoje ego.

- Doprawdy? Dzięki, w świetle tego, co mówisz, wyrzuciłem w błoto trzydzieści lat swojej pracy, bo dostałem ataku hysterii.

- Powinieneś się z tym pogodzić. Powiem ci coś jeszcze: jeśli nie znajdziesz sobie jakiegoś poważnego wyzwania, dopadnie cię depresja...

- Właśnie mnie dopadła. Przez ciebie. Dzięki.

- Przykro mi, ale dobrze cię znam. Nie wypaliłeś się tak bardzo, jak ci się zdawało. Sprawa Campbell po prostu zaszła ci za skórę. Rozumiem to. Wszyscy źle się z tym czuli, nawet ja. To najsmutniejsza, najbardziej dobijająca sprawa...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Niech ci będzie. Ale potrzebowałeś tylko miesięcznego odpoczynku, a nie emerytury. Wciąż jesteś młody...

- Ty jesteś młodsza.

- Zostało ci wiele energii, możesz wiele z siebie dać. Powinieneś napisać drugi akt, Paul.

- Dzięki. Właśnie rozważam swoje możliwości. - W pomieszczeniu stało się nagle dużo zimniej. W słuchawce też poczułem chłód.

- Jesteś zły?

- Nie. Gdybyś tu była, zobaczyłabyś, że jestem uśmiechnięty. Uśmiecham się.

- Wiesz, że gdybym cię nie kochała, nie mówiłabym tego wszystkiego.

- Nadal się uśmiecham.

- Do zobaczenia za parę tygodni - powiedziała Cynthia. - Trzymaj się.

- Ty też.

Chwila ciszy, po czym usłyszałem:

- Dobranoc.

- Pa - odparłem.

Oboje się rozłączyliśmy. Wstałem, podszedłem do baru i zrobiłem sobie drinka. Szkocka, kropla wody sodowej, lód.

Siedziałem w swojej kwaterze z nogami na biurku. Oglądałem padający za oknem śnieg. Szkocka pachniała doskonale.

Miałem na biurku powieść Danielle Steel, w uszach dzwoniła mi jeszcze nieprzyjemna rozmowa z Cynthią, a na ekranie komputera widniała złowroga wiadomość od Karla Hellmanna.

Czasami to, co wydaje się ze sobą w żaden sposób nie łączyć, w rzeczywistości stanowi część większego planu. Niekoniecznie twojego planu, ale czyjś na pewno. Miałem uwierzyć, że Karl i Cynthia nie rozmawiali ze sobą o mnie, ale pani Brenner nie wychowała idioty.

Powinienem się wkurzyć, że nie doceniono mojej inteligencji, choć przyznaję, że rzeczywiście roztaczam wokół siebie jakąś aurę głupiego macho, która zachęca do takich zachowań. Za to niejednego dzięki temu przyskrzypiłem.

Rzuciłem okiem na maila: „16:00, jutro, Ściana”. Nawet bez „proszę”. Pułkownik Karl Gustav Hellmann może sobie pozwolić na odrobinę arogancji. Jest Niemcem z urodzenia, jak sugeruje nazwisko, podczas gdy Paul Xavier Brenner to typowy irlandzki chłopak, uroczo nieodpowiedzialny i rozkosznie cwany. *Herr* Hellmann to jego zupełne przeciwieństwo. Mimo to, na jakimś dziwnym poziomie, dogadywaliśmy się. Był dobrym dowódcą, surowym, ale sprawiedliwym. Nigdy jednak nie wierzyłem w czystość jego intencji.

Tak czy inaczej usiadłem i wysmarowałem maila do Karla: „Do zobaczenia w wyznaczonym miejscu i czasie”. Podpisałem go: ppo. Paul Brenner. W tym wypadku „ppo.” nie było zniekształconym skrótem od podporucznika, lecz, jak obaj z Karlem

wiedzieliśmy, oznaczało p...nego prywatnego obywatela.



O trzeciej byłem w National Mall. National Mall to park w Waszyngtonie, Dystrykcie Kolumbii, prostokąt trawy i drzew z ładnym widokiem, rozciągający się od Kapitolu na wschodzie po pomnik Lincolna na zachodzie, czyli przez jakieś dwie mile.

Mall to dobre miejsce na jogging. Dlatego też zamiast marnować czas na wycieczkę do miasta tylko po to, żeby zobaczyć się z Karlem Hellmannem, przyjechałem ubrany w dres i buty do biegania. Na uszy naciągnąłem czapkę z dzianiny.

Zacząłem biegać wokół sadzawki, w której powierzchni odbijał się Kapitol, i ustaliłem takie tempo, żeby dobiec do Ściany o wyznaczonej porze, czyli o czwartej mojego czasu, a o szesnastej czasu Karla.

Było zimno, ale słońce wciąż wisiało nad horyzontem, a powietrze stało w miejscu. Drzewa nie miały liści, a na trawie leżał śnieg, który spadł zeszłej nocy.

Zacząłem szybkim biegiem, trzymając się południowego krańca National Mallu. Minąłem Narodowe Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej, Instytut Smithsona i pozostałe muzea, jakie były na mojej drodze.

Mówiłem, że oficjalnie jest to park, ale poza tym to takie miejsce, gdzie każdy chce postawić coś ważnego, jak monument, muzeum czy pomnik, i jeśli ta marmurowa mania będzie trwała dalej, Mall któregoś dnia będzie przypominał Forum Romanum, pełne świątyń tego czy innego boga. Nie mam nic przeciwko temu – w końcu ważni ludzie czy ważne wydarzenia potrzebują upamiętnienia. Ja już mam własny pomnik: Ścianę. Podoba mi się, bo nie ma na niej mojego nazwiska.

Słońce zniżyło się nad horyzontem, cienie się wydłużyły, zrobiło się bardzo cicho i spokojnie, jeśli nie liczyć śniegu chroboczącego pod moimi stopami.

Spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że do spotkania mam dziesięć minut. Herr Hellmann, jak wielu jego ziomków, jest fanatykiem punktualności. To znaczy nie chcę generalizować ras, religii ani innych takich, ale Niemcy i Irlandczycy mają nieco odmienną koncepcję czasu.

Przyspieszyłem kroku i podążyłem nad brzegiem sadzawki na północ. Zaczynałem już czuć pośladki, a w zimnym powietrzu rozboleły mnie płuca.

Kiedy przeciąłem panoramę Ogrodów Konstytucji, w polu mojego widzenia znalazł się pomnik Kobiet w Wietnamie: trzy sanitariuszki w tropikalnych ubraniach zgromadzone wokół jakiegoś rannego faceta, którego jeszcze nie było widać.

Około stu metrów dalej w stronę Ściany stał pomnik kombatantów – trzej goście odlani w brązie, w tropikalnych ubraniach, stojący przy maszcie flagowym. Za tymi dwiema grupami postaci wznosiła się czarna ściana, ostro kontrastująca z białym śniegiem.

Ściana jest chyba najczęściej odwiedzanym monumentem w Waszyngtonie, ale tego zimnego roboczego dnia nie było pod nią wielu ludzi. Zbliżając się, miałem

wrażenie, że ci, którzy zebrali się pod pomnikiem i stoją teraz i patrzą nań twardym wzrokiem, właśnie tam powinni być.

Jeden człowiek stał samotnie, oddalony od rozsianego tłumku; był to pułkownik Karl Hellmann. Ubrany w cywilny płaszcz, w kapeluszu na głowie, raz po raz spoglądał na zegarek, mrużąc pewnie do siebie z niemieckim akcentem: „Kcie jest ten facet?”.

Zwolniłem kroku, żeby nie przerazić dawnego szefa. Kiedy już byłem na ścieżce biegnącej pod Ścianą i od *herr* Hellmanna dzieliło mnie około dwudziestu metrów, dał się słyszeć kościelny dzwon, potem znowu, a potem jeszcze raz. Zacząłem iść spokojnie i podszedłem do Karla Gustava Hellmanna dokładnie w chwili, gdy zabrzmiał czwarty dzwon, oznajmiając godzinę szesnastą.

Wyczuł moją obecność, albo też zobaczył moje odbicie w czarnej ścianie, i nie odwracając się, powiedział: „Witaj, Paul”.

Wydawał się szczerze cieszyć na mój widok. Przynajmniej byłem o czasie, a to zawsze wprawiało go w dobry humor.

Nie odpowiedziałem na powitanie i staliśmy tak obok siebie, patrząc na Ścianę. Naprawdę chciałem odejść, ale nie ruszyłem się z miejsca, łapiąc oddech. Chmury pary wydobywały się z moich nozdrzy jak u konia, a pot na twarzy zamarzał w zimnym powietrzu.

Staliśmy w ciszy, poznając się na nowo po półrocznej przerwie. Przypominaliśmy dwa obwąchujące się psy, które starają się dociec, który z nich jest górą.

Zauważyłem, że obok nas znajduje się sekcja oznaczona datą „1968”. Był to największy jej fragment, jako że ten rok odznaczał się najwyższymi stratami Amerykanów: Ofensywa Tet, oblężenie Khe Sanh, bitwa o dolinę A Shau i inne mniej znane, a nie mniej straszne batalie. Karl Hellmann, tak jak i ja, był tam wtedy i znał te wydarzenia z pierwszej ręki.

Front tu, na miejscu, też nie wyglądał w 1968 roku różowo: zabójstwa Marthina Luthera Kinga, „Bobbiego” Kennedy'ego, zamieszki na uniwersytetach i w miastach... W ogóle kiepski rok. Rozumiałem, dlaczego Hellmann stanął właśnie tutaj, choć wciąż nie wiedziałem, czemu w ogóle tu byliśmy. Jednak jestem żołnierzem i nigdy nie mówię pierwszy do wyższego rangą. Czasami, jak widać na załączonym obrazku, nawet wtedy, kiedy ten już się odezwie. Było mi wszystko jedno, mogliśmy tak stać i do północy.

Wreszcie Karl znów otworzył usta.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział.

- To brzmiało jak rozkaz - odparłem.

- Jesteś przecież na emeryturze.

- Tak naprawdę to odszedłem.

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś. Ja zrobiłem z tego emeryturę. W ten sposób wszyscy są szczęśliwsi.

- Naprawdę chciałem odejść.

- Wtedy nie moglibyśmy zrobić tej imprezy, na której przeczytałeś wszystkim swoją naganą.

- Prosiłeś, żebym coś powiedział.

- Wydajesz się w formie - zmienił temat Hellmann.

- Nie może być inaczej. Cały dzień biegam po Waszyngtonie i spotykam się z różnymi ludźmi pod pomnikami. Jesteś trzeci.

Hellmann zapalił papierosa, po czym rzucił:

- Twój sarkazm i kiepskie poczucie humoru się nie zmieniły.

- Cieszę się - odparłem. - Jeśli wolno spytać, co się stało?

- Najpierw wymiana uprzejmości. Jak ci leci?

- Wspaniale. Nadrabiam zaległości w lekturze. A właśnie, czytałeś Danielle Steel?

- Kogo?

- Prześlę ci egzemplarz. Lubisz chili?

Hellmann zaciągnął się papierosem. Zapewne właśnie się zastanawiał, co go opętało, żeby się ze mną spotkać.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Paul - powiedział po chwili. - Czy myślisz, że armia źle cię potraktowała?

- Nie gorzej niż kilka milionów innych facetów.

- Chyba czas skończyć z uprzejmościami.

- Świetnie.

- Dwie sprawy urzędowe. Po pierwsze, twoja nagana. Można ją usunąć z akt. Po drugie, twoja emerytura. Można ją inaczej wyliczyć, co da sporą sumę, jeśli pomnożyć to przez przewidywaną długość życia.

- Szczerze mówiąc, moja przewidywana długość życia wzrosła, kiedy od szedłem z armii, więc mniejsza emerytura jest całkowicie do przyjęcia.

- Chcesz wiedzieć więcej na oba te tematy?

- Nie. Wyczuwam kłopoty.

Staliśmy tak w zimnie, zaciągając się rześkim powietrzem i rozważając wszystko o pięć czy sześć ruchów naprzód. Jestem w tym dobry, ale Karl - znacznie lepszy. Nie jest równie bystry, na pewno nie tak elokwentny, za to analizuje wszystko bardzo dokładnie.

Szczerze mówiąc, lubię tego gościa. Naprawdę. Nawet trochę mnie zabolalo, że się do mnie nie odzywał przez te pół roku. Może go wkurzyłem na pożegnalnym przyjęciu? Wypiłem chyba niewiele, lecz jak przez mgłę kojarzę, że udawałem jakiegoś pruskiego marszałka polnego o nazwisku, o ile sobie przypominam, von Hellmann.

Wreszcie Karl się odezwał.

- Na tej ścianie znajduje się nazwisko człowieka, który nie został zabity w akcji.

Człowieka, którego zamordowano.

Nie zareagowałem na tę wstrząsającą wiadomość.

- Jak wielu ludzi z tej ściany znałeś? - zapytał Hellmann.

Milczałem przez chwilę, po czym odparłem:

- Zbyt wielu. A ty?

- Podobnie. Byłeś w Wietnamie dwa razy, prawda?

- Prawda. W sześćdziesiątym ósmym, potem w siedemdziesiątym drugim. Tyle że za drugim razem byłem już w żandarmerii, więc walczyłem głównie z pijanymi żołnierzami w okolicach bazy lotniczej Bien Hoa.

- Ale za pierwszym byłeś w piechocie, na froncie. Widziałeś prawdziwą wojnę. Podobało ci się?

Takie pytanie mogą zrozumieć tylko weterani. Zdałem sobie sprawę, że przez te wszystkie lata nie rozmawialiśmy z Karlem o naszych bojowych doświadczeniach. Nie było w tym nic niezwykłego. Spojrzałem na niego i powiedziałem:

- To był niesamowity odlot. Przez pierwsze parę razy. Potem... przyzwyczałem się do tego, zaakceptowałem jako normę. Ostatnie kilka miesięcy, zanim wróciłem do domu, upłynęło mi pod znakiem paranoi. Wydawało mi się, że ktoś chce mnie zabić, mnie osobiście. Że nie puszczą mnie z powrotem. Przez ostatnie dwa miesiące w głębi kraju chyba w ogóle nie spałem.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy.

Karl pokiwał głową.

- Przeżyłem to samo - powiedział. Podszedł do Ściany, skupiając wzrok na poszczególnych nazwiskach.

- Wtedy byliśmy młodzi - dodał. - Oni są wiecznie młodzi.

Dotknął jednego z nazwisk.

- Tego znałem - dorzucił.

Hellmann wyglądał na wyjątkowo zadumanego, niemal posępnego. Miało to pewnie coś wspólnego z tym miejscem, porą roku, półmrokiem i tego typu rzeczami. Sam też nie miałem za bardzo ochoty na żarty.

Wyciągnął złotą papierośnicę i podobną zapalniczkę.

- Chcesz jednego? - zapytał.

- Nie, dzięki. Właśnie jednego wypaliłeś.

Zignorował mnie, jak to palacze, i przypalił sobie następnego.

Karl Gustav Hellmann. Nie wiedziałem wiele o jego życiu osobistym, ale na pewno dorastał w ruinach powojennych Niemiec. Znałem kilku innych niemiecko-amerykańskich żołnierzy, w większości emerytowanych oficerów. Przeciętna biografia tych pseudo-Jankesów zakładała brak ojca albo całkowite sieroctwo. Żeby przetrwać, wykonywali zwykle jakieś roboty dla amerykańskiej armii okupacyjnej. Mając osiemnaście lat, w poszukiwaniu ucieczki od nędzy zwyciężonego narodu, zaciągali się do armii USA w jakiejś niemieckiej placówce. Dawniej było ich tu

niemało, Karl był zapewne jednym z ostatnich.

Nie wiedziałem, jak wiele z tego typowego życiorysu odnosiło się bezpośrednio do Karla Hellmanna, ale musiał być bardzo bliski przejścia w stan spoczynku, chyba że czekała na niego generalska gwiazdka. W takim wypadku mógłby zostać w armii. Przyszło mi na myśl, że nasze spotkanie mogło mieć z tym coś wspólnego.

Zwrócił się do mnie, albo może do siebie:

- Minęło wiele czasu. Chwilami jednak zdaje mi się, jakby to było wczoraj.

Spojrzał na Ścianę, później skierował wzrok na mnie.

- Zgodzisz się ze mną? - zapytał.

- Tak, sześćdziesiąty ósmy staje mi przed oczami jak niemy film, pochodzący z wyraźnych obrazów zatrzymany gdzieś w czasie...

Popatrzyliśmy na siebie, Karl skinął głową.

Do czego to zmierzało?

Dobrze jest wiedzieć, gdzie się zaczęło. Jak wspomniałem, jestem Irlandczykiem z południowego Bostonu, co oznacza klasę pracującą. Mój ojciec uczestniczył w II wojnie światowej, jak ojciec każdego, kto tam wtedy mieszkał. Odsłużył trzy lata w piechocie, wrócił, ożenił się i spłodził trzech synów. Przez trzydzieści lat pracował, naprawiając autobusy miejskie. Przyznał kiedyś, że ta robota nie była równie ekscytująca co lądowanie w Normandii, ale miała lepsze godziny pracy.

Niedługo po moich osiemnastych urodzinach otrzymałem wezwanie do wojska. Dzwoniłem do Harvardu z pytaniem, czy nie mają przypadkiem wolnego miejsca na pierwszym roku i studenckiego odroczenia na zbyciu, ale zwrócili moją uwagę na fakt - poniekąd słusznie - że nigdy nie składałem podania o przyjęcie. To samo było z uniwersytetem w Bostonie, a nawet z bostońskim college'em, gdzie wielu z moich współwyznawców znalazło azyl przed poborem.

Spakowałem więc w nocy tornister, tata uściśnął mi dłoń, młodsi bracia orzekli zgodnie, że to ekstra, mama zapłakała, a ja ruszyłem wojskowym pociągiem do fortu Hadley w Georgii na szkolenie podstawowe i zaawansowany trening piechoty. Z jakiegoś idiotycznego powodu zgłosiłem się do szkoły powietrznej - co oznacza szkolenie spadochronowe - w forcie Benning, również w Georgii. I zostałem przyjęty. Aby ukończyć swoją edukację w dziedzinie zabijania, zgłosiłem się na szkolenie sił specjalnych, mając nadzieję, że może nastanie pokój, nim wyczerpią mi się dziwne szkoły, ale armia powiedziała: „Dość. Jesteś gotowy, chłopcze”. I niedługo po ukończeniu szkoły powietrznej znalazłem się na froncie jako żołnierz kompanii piechoty, w miejscu zwanym Bong Son, które wcale nie znajduje się w Kalifornii.

Spojrzałem na Karla, wiedziałem bowiem, że byliśmy tam mniej więcej w tym samym czasie, ale droga, jaka tam prowadziła, była dla każdego z nas zupełnie odmienna. Choć może nie tak bardzo.

- Pomyślałem, że dobrze byłoby spotkać się tutaj - rzucił.

Nie odpowiedziałem.

Po powrocie z Wietnamu i on, i ja pozostaliśmy w armii, chyba po prostu dlatego, że armia nas chciała, a nikt inny nie. Wobec tego zostałem żandarmem i odbyłem drugą wycieczkę do Wietnamu. Parę lat później skorzystałem z programu dokształcającego i otrzymałem licencjat z postępowania kryminalnego. Następnie dostałem się do CID, a to głównie z tego powodu, że noszą cywilne ubrania.

Zostałem tym, co nazywa się „oficerem technicznym”: oficerem bez odpowiedzialności dowódczej, ale za to z ważną profesją. W moim wypadku – detektywa z wydziału zabójstw.

Karl poszedł w bardziej eleganckim kierunku, na prawdziwe dzienne studia za pieniądze armii, i uzyskał jakiś cholerny dyplom z filozofii. Jednocześnie przeszedł czteroletnie szkolenie dla oficerów rezerwy, po czym podjął na nowo służbę, już jako pułkownik.

W którymś momencie los omal nie zetknął nas w Wietnamie, potem spotkaliśmy się w Falls Church. A teraz znajdowaliśmy się tutaj, w półmroku dosłownie i w przenośni, już nie wojownicy, lecz mężczyźni w średnim wieku patrzący na zabitych z naszego pokolenia; pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk wyrytych w czarnym kamieniu. Nagle zobaczyłem tych martwych mężczyzn jako dzieci, uważnie drążące swoje nazwiska w drzewach, w szkolnych ławkach, w drewnianych płotach. Zdałem sobie sprawę, że na każde nazwisko w granicy przypada inne pasujące do niego, wyryte gdzieś w Ameryce. Podobnie były one wydrążone w sercach ich rodzin, jak również w sercu całego narodu.

Zaczęliśmy z Karlem iść wzdłuż Ściany, wydychając w zimne powietrze kłęby pary. U podstawy pomnika leżały kwiaty, pozostawione tam przez przyjaciół i członków rodzin. Przypomniałem sobie, że kiedy byłem tu ostatnim razem, wiele lat temu, ktoś zostawił rękawicę bejsbolową. Kiedy ją zobaczyłem, łzy potoczyły mi się po policzkach, z trudem wziąłem się w garść.

Na początku, gdy postawiono Ścianę, ludzie zostawiali pod nią mnóstwo takich rzeczy: zdjęcia, czapki, zabawki, nawet ulubione jedzenie, jak na przykład pudełko krakersów Nabisco. Dziś nie widziałem żadnych osobistych przedmiotów, tylko kwiaty i kilka złożonych listów wciśniętych w spoiny muru.

Mijają lata, rodzice umierają, żony idą dalej przez życie, bracia i siostry nie zapominają, ale już tu byli, toteż nie muszą wracać. Zabici, w większości bardzo młodzi, nie zostawili po sobie wielu dzieci. Ostatnim razem spotkałem tu jedną córkę, dwudziestokilkuletnią pannę, która nie miała okazji poznać swojego ojca. Ja nigdy nie miałem córki, więc przez jakieś dziesięć minut próbowaliśmy wypełnić pustkę, którą czuliśmy, wewnętrzny brak. Potem każde z nas poszło swoją drogą.

Pomyślałem o Cynthii, małżeństwie, dzieciach, o ognisku domowym i o różnych takich ciepłych i miękkich rzeczach. Gdyby teraz tu była, oświadczyłbym jej się, lecz jej nie było. Ja zaś wiedziałem, że do rana oprzytomnieję i znów będę sobą.

Karl, który myślał pewnie o podobnych rzeczach – o wojnie i pokoju, śmiertelności i nieśmiertelności – nagle się odezwał:

– Staram się przychodzić tutaj co roku, siedemnastego sierpnia. To rocznica bitwy, w której brałem udział. – Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej: – Bitwa o

drogę numer trzystaście... Jedenasta Kawaleria Opancerzona, plantacja gumy Michelin. Mogłeś coś o tym słyszeć. Wokół mnie ginęli ludzie, wielu ludzi. Tak więc przychodzę tu siedemnastego sierpnia, modlę się za nich i dziękuję Bogu za swoje ocalenie. Tylko wtedy się modlę.

- Wydawało mi się, że co niedziela chodzisz do kościoła.

- Do kościoła chodzi się z żoną i dziećmi.

Nie rozwinął tej myśli, a ja nie zapytałem. Zawróciliśmy. Zaraz potem powiedział innym tonem:

- Jesteś ciekaw historii tego zamordowanego?

- Może jestem - odparłem - ale nie chcę wiedzieć.

- Gdyby tak było, oddaliłbyś się.

- Po prostu jestem uprzejmy, pułkowniku.

- Cieszyłbym się, gdybyś był równie uprzejmy, kiedy dla mnie pracowałeś. Ale skoro już zachowujesz dobre maniere, wysłuchaj mnie.

- Jeśli cię wysłucham, mogą mnie wezwać na świadka w jakimś przyszłym procesie. Tak jest napisane w podręczniku.

- Wierz mi, to spotkanie i rozmowa w ogóle nie mają miejsca. To dlatego jesteśmy tutaj, a nie w Falls Church.

- Już się tego domyśliłem.

- Mogę zacząć?

W tym momencie stałem jeszcze na równej ziemi; następny krok prowadził na śliskie zbocze. Nie było żadnego rzeczywistego powodu, dla którego miałbym wysłuchać tego człowieka. Ale ja myślałem tylko o Cynthii. Znaleźć pracę, rozpocząć prawdziwe życie, zrobić to, czego pragnęła.

- Mogę zaczynać? - zapytał ponownie Karl.

- Czy będę mógł ci przerwać w każdej chwili?

- Nie. Jeśli już zacznę, wysłuchasz mnie do końca.

- Czy to sprawa kryminalna?

- Wydaje mi się, że morderstwo jest sprawą kryminalną. Tak sądzę. Masz jeszcze jakieś inne głupie pytania?

Uśmiechnąłem się, nie dlatego, że mnie obraził, lecz dlatego, iż zaczynałem działać mu na nerwy.

- Wiesz co? - odparłem. - Żeby udowodnić ci moją głupotę, posłucham.

- Dziękuję.

Karl ruszył w kierunku pomnika Kobiet, ja szedłem tuż obok.

- Doszliśmy w CID do wniosku - zaczął - że młody porucznik, oznaczony jako zabity albo zaginiony w akcji, został *de facto* zamordowany w mieście Quang Tri siódmego lutego 1968 roku w trakcie bitwy o to miasto, podczas Ofensywy Tet. O ile wiem, byłeś w tym czasie w prowincji Quang Tri.

- Tak, ale na ten dzień mam alibi.

- Wspomniałem o tym jedynie jako o pewnym zbiegu okoliczności. Wiadomo mi, że twoja jednostka stacjonowała w odległości kilku kilometrów od stolicy prowincji, Quang Tri. Dzięki temu możesz dobrze sobie wyobrazić czas i miejsce zdarzenia.

- Racja. Mogę też ci podziękować za sprawdzenie moich akt służby.

Hellmann zignorował tę uwagę i kontynuował:

- Ja służyłem, jak już wiesz, w Jedenastej Kawalerii Opancerzonej. Stacjonowaliśmy w Xuan Loc, ale prowadziliśmy w tym czasie działania wokół Cu Chi. Nie przypominam sobie tego konkretnego dnia, cały luty podczas Ofensywy Tet był nieprzyjemny.

- Do bani.

- Tak, do bani. - Karl zatrzymał się i spojrzał na mnie. - W sprawie tego amerykańskiego porucznika mamy dowody świadczące o tym, że został zamordowany przez kapitana armii amerykańskiej.

Zrobił pauzę, żeby to do mnie dotarło, ale powstrzymałem się od odpowiedzi. Usłyszałem już to, co miałem usłyszeć, poznałem już Sekret. Czekałem teraz na szczegóły.

Patrzyliśmy na pomnik Kobiet w Wietnamie, na trzy siostry, jedną zajmującą się rannym leżącym na workach z piaskiem, drugą klęczącą obok i trzecią wypatrującą na niebie śmigłowca ratunkowego. Wszystkie cztery postacie ubrane były tak lekko, że patrząc na nie, mimowolnie poczułem chłód.

Powiedziałem do Karla:

- Te figury powinny stać bliżej Ściany. Ostatnią osobą, którą wielu z nich widziało lub z którą rozmawiało przed śmiercią, była właśnie sanitariuszka.

- Tak - odparł - ale to zestawienie mogłoby być zbyt pesymistyczne. Wydaje mi się, że on przeżyje.

- Racja, chyba mu się uda.

Zamilkliśmy, zagubieni we własnych myślach. Wiem, że to tylko pomnik, ale spoglądając na niego, czułem się tak, jakbym znów tam był.

Karl przerwał milczenie i ciągnął opowieść:

- Nie znamy nazwiska domniemanego mordercy ani nie wiemy, kim była rzekoma ofiara. Wiadomo nam tylko, że jakiś kapitan zamordował z zimną krwią jakiegoś porucznika. Nie mamy ciała albo inaczej: mamy wiele ciał ludzi zabitych przez wroga, ale nie znaleźliśmy tego jednego. Wiemy, że ten człowiek został zabity pojedynczym strzałem w czoło, co może zawęzić poszukiwania według aktów zgonu z tamtego czasu. Chyba że, oczywiście, ciało nigdy nie zostało odnalezione, a ofiarę uznano za zaginioną w akcji. Nadążasz?

- Jasne. Kapitan armii Stanów Zjednoczonych wyciągnął pistolet i strzelił porucznikowi armii Stanów Zjednoczonych w czoło. Przypuszczalnie rana była śmiertelna. Wydarzyło się to w ogniu walki, niemal trzydzieści lat temu. Ale pozwól, że na moment wcielę się w obrońcę: może to wcale nie było morderstwo? Może był



to jeden z tych niefortunnych przypadków, gdy wyższy rangą oficer zabija niższego za tchórzostwo w obliczu wroga? To się zdarza, i niekoniecznie jest nazywane morderstwem ani nawet nie jest nielegalne. Może zrobił to w samoobronie albo był to wypadek? Nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Dodałem jeszcze:

- Ale oczywiście masz świadka, nie powinienem więc spekulować.

Zawróciliśmy i poszliśmy z powrotem w kierunku Ściany. Dzień gasł, a ludzie przychodzili i odchodzili. Jakiś mężczyzna w średnim wieku ułożył u podstawy czarnego muru wieniec i otarł oczy chustką. Hellmann patrzył na niego przez chwilę, po czym rzekł:

- Tak, był świadek. Jego zeznanie świadczy o morderstwie z zimną krwią.

- Czy świadek jest godny zaufania?

- Nie wiem.

- Kim jest i gdzie przebywa?

- Nie wiemy, gdzie jest, ale znamy jego nazwisko.

- I chcecie, żebym go odnalazł?

- Tak jest.

- A skąd wiadomo o tym świadku?

- Napisał list.

- Rozumiem... Macie więc zaginionego świadka morderstwa, które liczy już sobie trzydzieści lat. Brak podejrzanego, brak ciała, żadnej broni czy motywu, nie ma wyników medycznej ekspertyzy sądowej, a samo morderstwo miało miejsce w zapomnianym przez Boga kraju bardzo daleko stąd. I chcesz, żebym rozwiązał tę sprawę.

- Tak jest.

- Zadanie wydaje się dziecinnie proste. Mogę zapytać dlaczego? Kogo to obchodzi po trzydziestu latach?

- Mnie. Armię. Popełniono morderstwo. To nie ulega przedawnieniu. - Pewnie. Zdajesz sobie sprawę, że rodzina tego porucznika zabitego albo zaginionego w akcji wierzy, że zginął on na polu chwały? Co można zyskać, udowadniając, że został zamordowany? Nie sądzisz, że jego bliscy dość już wycierpieli?

Wskazałem głową ludzi pod Ścianą.

- To nie leży w kręgu naszych zainteresowań - powiedział Karl Hellmann, zgodnie z prawdą.

- W kręgu moich owszem - poinformowałem go.

- Nie o to chodzi, że za dużo myślisz, Paul. Rzecz w tym, że myślisz o niewłaściwych rzeczach.

- Nieprawda. Myślę, że jest na tej ścianie nazwisko, które najlepiej byłoby zostawić w spokoju.

- Chodzi o morderstwo.

- Może tak, a może nie. Z tego, co wiemy, podejrzany o morderstwo mógł zostać później zabity w akcji. To były ciężkie czasy, rachunek prawdopodobieństwa wskazuje, że ten kapitan najpewniej już nie żyje.

- W takim wypadku jego imię nie powinno się znajdować na tej ścianie wraz z tymi, którzy zginęli śmiercią bohaterską.

- Wiedziałem, że to powiesz.

- Wiedziałem, że zrozumiesz.

- Chyba za długo ze sobą pracowaliśmy.

- Dobrze nam się razem pracowało.

To było dla mnie coś nowego. Może miał na myśli to, że nasza praca przynosiła efekty, co było prawdą pomimo ogromnych różnic w charakterach i tego, że jeden z nas ślepo trzymał się zasad, podczas gdy drugi - wprost przeciwnie.

Odeszliśmy od pomnika Kobiet w Wietnamie i zatrzymaliśmy się przy trzech mężczyznach z brązu: dwóch białych i jednym czarnym, którzy mieli reprezentować żołnierzy piechoty morskiej, regularnej piechoty oraz marynarki. Wszyscy mieli na sobie mundury tropikalne, więc trudno było ich odróżnić. Patrzyli w stronę Ściany, jakby w zamyśleniu, na nazwiska umarłych, ale w sposób wywołujący ciarki na plecach - sami bowiem zdawali się martwi.

Karl odwrócił się ku Ścianie i rzekł:

- Na początku wolałem te heroiczne figury z brązu, Ściana mi się nie podobała. Mimo wszystkich swoich abstrakcyjnych znaczeń i metaforycznych niuansów w rzeczywistości wyglądała jak ogromny nagrobek, wspólna mogiła wszystkich, których nazwiska są na niej wyryte. To mnie dręczyło. A potem... zaakceptowałem to. A jakie jest twoje zdanie?

- Myślę, że powinniśmy przede wszystkim pogodzić się z tym, że jest tym, czym jest. Nagrobkiem.

- Czy czujesz się winny, że tam nie zginąłeś?

- Mógłbym, gdyby mnie tam w ogóle nie było. Możemy zmienić temat?

- Nie. Kiedyś powiedziałeś mi, że nie masz żalu do tych, którzy nie służyli. Czy to prawda?

- Tak, nic się nie zmieniło. Dlaczego pytasz?

- Mówiłeś, że jesteś bardziej wściekły na tych, którzy byli w Wietnamie, ale nie wykonywali swojej roboty - na tych, którzy zawiedli, którzy dokonywali niehonorowych czynów jak gwałt czy rozbój. Na tych, którzy bezwzględnie zabijali cywilów. To też się nie zmieniło?

- Skończ ten wykład.

- Dobrze. Mamy więc kapitana, który najprawdopodobniej zamordował młodszego oficera. Chcę poznać nazwisko tego kapitana, jak również nazwisko zamordowanego porucznika.

Zdałem sobie sprawę, że na oczywiste pytanie: „dlaczego?” – pytanie o motyw – nie uzyskano zdecydowanej odpowiedzi. Może, jak to często bywa ze sprawami o morderstwo w trakcie wojny, powód był błahy, nielogiczny i nieistotny. Ale możliwe też, że prawdziwa przyczyna odgrzebywania zbrodni sprzed trzydziestu lat nie została mi odkryta. Jeśli tak było, a Karl o tym nie wspominał, nie zamierzałem ciągnąć go za język. Trzymając się znanych mi już faktów, powiedziałem:

- W porządku, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, powinieneś wziąć pod uwagę, że ten kapitan, ten domniemany morderca, o ile nie zginął w walce, może już nie żyć z przyczyn naturalnych. Minęło przecież trzydzieści lat.

- Ja nadal żyję. Ty też. Musimy sprawdzić, czy on również jest wciąż wśród żywych.

- Dobrze. A co ze świadkiem? Wiemy, czy chociaż ten gość żyje?

- Nie wiemy. Ale jeśli nie, to także jest istotna informacja.

- Kiedy ostatnio świadek zdradzał oznaki życia?

- Ósmego lutego 1968 roku. Taka data widnieje na jego liście.

- Wiem, że poczta wojskowa działa powoli, ale to chyba jest rekord.

- Świadek nie był amerykańskim żołnierzem. Służył w północnowietnamskiej armii. Nazywał się Tran Van Vinh. Został ranny podczas bitwy o miasto Quang Tri i ukrywał się wśród ruin. Widział kłótnię tych dwóch Amerykanów, widział, jak kapitan wyciągnął pistolet i zastrzelił porucznika. W swoim liście określił mordercę jako *dai-uy* – kapitan – a zamordowanego jako *trung-uy* – porucznik.

- W okolicy Quang Tri kręciło się w tym czasie sporo piechoty morskiej. Może ta sprawa nie podlega naszej jurysdykcji?

- W swoim liście – odparł Hellmann – Tran Van Vinh wspomniał, że obaj byli *kybinh* – kawalerzystami. Jest oczywiste, że dojrzał oznaczenia Pierwszej Kawalerii Armii Stanów Zjednoczonych na ich ramionach. Musiał je znać.

- Pierwsza Dywizja Kawalerii, w której sam służyłem, liczyła sobie ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy.

- Zgadza się. Ale i tak zawęża to horyzont poszukiwań.

Myślałem przez chwilę, po czym zapytałem Karla:

- Masz ten list?

- Oczywiście. Dlatego tu jesteśmy.

- Jasne. Był zaadresowany do brata tego gościa. Jak udało ci się go zdobyć?

- W bardzo ciekawy sposób. Ten brat również był północnowietnamskim żołnierzem, nazywał się Tran Quan Lee. List znalazł przy jego ciele w dolinie A Chau, w połowie maja tego samego roku, amerykański żołnierz Victor Ort i zabrał ze sobą jako pamiątkę. Wysłał potem list do domu i przeleżał on tam, wśród innych wojennych rekwizytów, prawie trzydzieści lat. Zupełnie niedawno Ort przesłał go do AWW, Amerykańskich Weteranów z Wietnamu<sup>2</sup>, którzy mają siedzibę tutaj, w Waszyngtonie. Organizacja ta prosi swoich członków o zwrot znalezionych i

zdobytch przedmiotów oraz dokumentów, a także o udzielenie każdej informacji na temat zabitych wrogów. Informacje te przekazywane są później wietnamskiemu rządowi w Hanoi, co ma pomóc Wietnamczykom w odkryciu losów ich zaginionych żołnierzy.

- Dlaczego?

- Teraz nie są już naszymi wrogami. Mają w Sajgonie McDonalda i Kentucky Fried Chicken. W każdym razie chcemy, żeby i oni pomogli nam się czegoś dowiedzieć o naszych zaginionych w akcji chłopakach. Mamy wciąż około dwóch tysięcy niewyjaśnionych historii. Oni mają porażającą liczbę trzystu tysięcy zaginionych.

- Pewnie wszyscy są w San Diego.

- Nie, wszyscy nie żyją, włączając w to Tran Quan Lee, zabitego w dolinie A Shau. Zamordował go prawdopodobnie sam pan Ort, choć wypowiadał się w tej materii nader mgliście. Tak więc ten amerykański weteran, Victor Ort, wysłał list, znaleziony przy ciele Tran Quan Lee, do Amerykańskich Weteranów z Wietnamu wraz z notką wyjaśniającą, gdzie i kiedy go znalazł. Z szacunku wobec ludzi wysyłających takie listy AWW przetłumaczyło go. Już mieli przesłać przekład do pana Orta, kiedy ktoś z AWW, emerytowany oficer, dostał go w swoje ręce i natychmiast zdał sobie sprawę, że czyta sprawozdanie naocznego świadka morderstwa. Postanowił się z nami skontaktować. Cywil poinformowałby FBI.

- Tak, mieliśmy nie lada szczęście. Czy ktokolwiek zdobył się na wysłanie kopii panu Ortowi?

- Pan Ort otrzymał tłumaczenie listu miłosnego i notkę z podziękowaniami.

- No tak. A wy macie ten oryginał?

- Tak, poddaliśmy analizie papier i atrament, a nad przekładem pracowało niezależnie trzech tłumaczy. Wszyscy użyli niemal identycznego słownictwa. Nie ma wątpliwości, że to, co Tran Van Vinh opisał w liście do swojego brata, Tran Quan Lee, było morderstwem. To bardzo wciągająca i poruszająca lektura. Oczywiście pokażę ci kopię tłumaczenia.

- Będzie mi ono do czegoś potrzebne?

- Niewiele jest w tym piśmie wskazówek, ponad to, co już ci powiedziałem - odparł Hellmann. - Ale może cię przynajmniej zmotywuje.

- Do czego?

- Do odnalezienia autora listu.

- A jakie są szanse, że Tran Van Vinh wciąż żyje? Chodzi mi o to, Karl, że przecież całe to pokolenie Wietnamczyków zostało niemal zmiecione z powierzchni ziemi.

- „Niemal” jest tu słowem kluczowym.

- Że nie wspomnę o niewielkiej spodziewanej długości życia.

- Musimy znaleźć tego świadka, sierżanta Tran Van Vinha. Niestety, w Wietnamie istnieje jedynie około trzystu nazwisk rodowych, a populacja sięga

osiemdziesięciu milionów.

- Zatem książka telefoniczna niewiele pomoże?

- Nie ma żadnych książek telefonicznych. Ale mamy szczęście, że nazwisko nie brzmi Nguyen. Połowa nazwisk rodowych Wietnamczyków to Nguyen. Szczęśliwie nazwisko Tran należy do rzadszych, a pierwsze i drugie imiona Van Vinh i Quan Lee jeszcze zawężają pole poszukiwań.

- Macie ich miejsce zamieszkania albo datę urodzenia?

- Daty nie mamy, ale przybliżony wiek jest znany - należą do naszej grupy wiekowej. Koperta była zaadresowana do brata na jednostkę wojskową, podobny był też adres zwrotny. Z tych adresów wiemy, że obaj mężczyźni należeli do północnowietnamskiej armii, a nie do miejscowych oddziałów południowowietnamskiego Wietkongu, pochodzą więc z północy. Tran Van Vinh wspomina nawet w swoim liście nazwę ich wioski, Tam Ki. Niestety, nie znaleźliśmy takiej miejscowości na żadnej z naszych map Wietnamu, ani północnego, ani nawet południowego. Nie ma w tym niczego niezwykłego, jak może pamiętasz, miejscowi określają jakoś swoje wioski, gdy tymczasem na oficjalnych mapach znajdują się często zupełnie inne nazwy. Ale pracujemy nad tym. Wioska Tam Ki stanowi ważną wskazówkę do odnalezienia tego mężczyzny, Tran Van Vinha.

- A jeśli już go znajdziecie, co więcej zdoła wam powiedzieć ponad to, co już zawarł w swoim liście?

- Prawdopodobnie mógłby zidentyfikować mordercę na podstawie starych zdjęć z wojskowych dokumentów.

- Po trzydziestu latach?

- To możliwe.

- A więc macie już podejrzanych?

- Jeszcze nie. Ale przeglądamy akta wojskowe pod kątem kapitanów Pierwszej Dywizji Kawalerii Armii Stanów Zjednoczonych, którzy znajdowali się w mieście Quang Tri, bądź niedaleko, w okolicach siódmego lutego 1968 roku. Oczywiście szukamy też poruczników Pierwszej Dywizji Kawalerii, zabitych albo zaginionych w akcji w tym samym miejscu i o tym samym czasie. To wszystko, co mamy: dwie rangi, kapitana i porucznika, ich dywizję, Pierwszą Kawalerii, miejsce, miasto Quang Tri, i datę - siódmego lutego 1968, datę morderstwa, o którym wiemy z listu napisanego następnego dnia.

Oddaliśmy się od figur z brązu. Myślałem o tym wszystkim. Wiedziałem, dokąd to zmierza, ale nie chciałem iść w tym kierunku.

- Możemy to zawęzić i stworzyć listę prawdopodobnych podejrzanych, opierając się na wojskowych aktach - kontynuował Karl. - Wtedy zwrócimy się do FBI, żeby przesłuchali wszystkich tych, którzy przeszli już w stan spoczynku, a sami przepytamy każdego, kto wciąż służy w armii. W tym samym czasie będziemy szukali jedyne go świadka morderstwa. Wiem, że to daleki strzał, Paul, ale w przeszłości rozwiązywano zagadki zbrodni, mając jeszcze mniej danych.

- Czego chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś pojechał do Wietnamu, Paul.

- O nie, nie sądzę, Karl. Już tam byłem, już to robiłem. Mam nawet medale na dowód.

- Jeśli chodzi o pogodę, Wietnam w styczniu jest bardzo przyjemny.

- Tak jak Aruba. Lecę tam w przyszłym tygodniu - skłamałem.

- Powtórka dobrze ci robi.

- Nie sądzę. Tamto miejsce wtedy było do bani, teraz też jest.

- Weterani, którzy powrócili, mówią, że doświadczyli katharsis.

- To totalitarne policyjne państwo komunistyczne, z dwustoma tysiącami ton niewysadzonych min i zakopanymi wszędzie nabojami artyleryjskimi, które tylko czyhają na to, żeby mnie posłać z hukiem na tamten świat.

- Cóż, trzeba uważać.

- Jedziesz ze mną?

- Oczywiście, że nie. To miejsce jest do bani.

Roześmiałem się.

- Pułkowniku, z całym należnym szacunkiem, możesz wziąć tę swoją sprawę i zawrócić nią dupę komuś innemu.

- Posłuchaj mnie, Paul, nie możemy wysłać do Wietnamu kogoś na służbie. To jest... cóż, nieoficjalne dochodzenie. Pojedziesz tam jako turysta, powracający weteran, jak tysiące innych...

- Chcesz mi powiedzieć, że nie będę miał oficjalnego statusu ani immunitetu dyplomatycznego?

- Ruszymy na pomoc, jeśli będziesz miał kłopoty.

- Jaką pomoc masz na myśli? Przemycenie trucizny do mojej celi?

- Nie, raczej odwiedzi cię ktoś z ambasady. Poza tym wystosujemy oczywiście oficjalny protest.

- To mnie bardzo uspokaja, ale ja chyba nie chcę zwiedzać od środka komunistycznego więzienia. Mam dwóch przyjaciół, którzy spędzili wieloletnie wakacje w Hiltonie w Hanoi. Nie bardzo im się tam podobało.

- Jeżeli wdasz się w konflikt z władzami, po prostu cię stamtąd wyrzucą.

- Będę mógł im powtórzyć, że tak powiedziałaś?

Hellmann się nie odezwał. Myślałem przez chwilę, po czym powiedziałem:

- Zakładam, że Amerykańscy Weterani z Wietnamu przesłali oryginał do Hanoi, wykonując swoje humanitarne posłannictwo, by pomóc północnym Wietnamczykom poznać losy ich zabitych i zaginionych. Z tego względu Hanoi odnajdzie rodzinę zmarłego Tran Quan Lee i dowie się, czy jego brat, Tran Van Vinh, wciąż żyje oraz gdzie jest. Zgadza się? Dlaczego więc nie użyjesz zwykłych kanałów dyplomatycznych i nie pozwolisz rządowi w Hanoi robić tego, co udaje mu się najlepiej, czyli inwigilować jego żalonych obywateli?

- Szczerze mówiąc, poprosiliśmy AWW, żeby nie posyłała listu do Hanoi.

Już to wiedziałem, ale zapytałem:

- Dlaczego?

- Cóż, jest wiele powodów, żeby Hanoi na razie go nie dostało.

- Podaj mi choć jeden.

- Im mniej wiedzą, tym lepiej. To samo odnosi się do ciebie.

Nasze oczy się spotkały i zrozumiałem, że ta sprawa dotyczy czegoś więcej niż tylko morderstwa sprzed trzydziestu lat. Musiało tak być, inaczej to wszystko nie miałooby żadnego sensu. Powiedziałem więc:

- W porządku i tak już za wiele usłyszałem. Dzięki za zaufanie, jakim mnie obdarzyłeś, ale nie, dziękuję.

- Czego się boisz?

- Nie próbuj brać mnie pod włos, Karl. Wiele razy narażałem życie dla tego kraju. Ale ta sprawa nie jest warta mojego życia, ani czyjegokolwiek. To już historia. I niech tak zostanie.

- To kwestia sprawiedliwości.

- Ze sprawiedliwością nie ma to nic wspólnego. Chodzi o coś innego, a skoro nie wiem o co, nie ruszę tyłka do Wietnamu z powodu, którego nikt nie chce mi wyjawić. Za każdym razem, kiedy tam byłem, przynajmniej wiedziałem po co.

- W y d a w a ł o nam się, że wiemy. Okłamali nas. Teraz nikt cię nie okłamuje. Po prostu nie mówimy ci dlaczego. Ale wierz mi, to bardzo ważne.

- Wtedy też tak mówili.

- Z tym nie będę się spierał.

Słońce już niemal zaszło, obudził się zimny wiatr. Byliśmy niemal sami i staliśmy wspólnie w ciszy naprzeciw swoim myślom. W końcu Karl Hellmann rzekł miękkim tonem:

- Panuje półmrok. Cienie są długie.

Spojrzał na mnie.

- Cienie sięgają stamtąd aż tutaj, Paul. Tylko tyle mogę ci powiedzieć - dokończył.

Nie odpowiedziałem.

Pojawił się mężczyzna ubrany w starą roboczą kurtkę; na głowie miał kapelusz. Był mniej więcej w naszym wieku, ale z powodu siwej brody wyglądał na starszego. Przystawił do ust trąbkę sygnałową i zagrał capstrzyk. Gdy wybrzmiała ostatnia płaczliwa nuta, mężczyzna stanął twarzą do Ściany, zaszalutował i odszedł.

Karl i ja staliśmy chwilę w milczeniu, po czym Hellmann powiedział:

- W porządku. Rozumiem. To może być trochę niebezpieczne, a faceci w średnim wieku nie ryzykują życia w imię czegoś, co może się okazać głupie czy bezużyteczne. Prawdę mówiąc, ten Tran Van Vinh najprawdopodobniej już nie żyje,

a nawet jeśli żyje, to i tak pewnie nic niepamięta. Chodź, postawię ci drinka. Jest taka jedna knajpa przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy.

Szliśmy w ciszy w przez National Mall. Nagle Hellmann zapytał:

- Może przynajmniej pokażę ci ten list?
- Który? Ten miłosny czy ten prawdziwy?
- Tłumaczenie listu Tran Van Vinha.
- Prawdziwe i pełne tłumaczenie?

Karl nie odpowiedział.

- Daj mi oryginał po wietnamsku - zaproponowałem. - Sam dam go do tłumaczenia.

- To nie będzie konieczne - odparł.

Uśmiechnąłem się.

- Czyli jest w tym liście jeszcze coś, czego nie powinienem widzieć. Chcesz mojej pomocy, a sporo wiadomości zatrzymujesz dla siebie.

- To dla twojego dobra. Wszystko, co przed tobą zatajam, nie ma żadnego związku z misją odszukania Tran Van Vinha.

- Z c z y m ś musi mieć związek, w przeciwnym wypadku nie byłbyś taki ściśle tajny.

Karl znów nic nie odpowiedział.

- Kiedy dostaliście ten list od AWW?

- Dwa dni temu.

- I zapewne rozpoczęliście już poszukiwania w wojskowych dokumentach?

- Tak, ale to zajmie tydzień albo dwa. Poza tym ten pożar w archiwach...

- Karl, ten pożar z 1973 stał się przykrywką większej ilości gówna niż jakikolwiek inny pożar w historii.

- Możliwe, ale n a p r a w d ę są braki w aktach. Mimo to myślę, że za parę tygodni wejdziemy w posiadanie listy kapitanów Pierwszej Kawalerii, którzy mogli być w tamtym miejscu we wskazanym czasie. Lista poruczników, zabitych w akcji w Quang Tri w okolicach 7 lutego, będzie na pewno dużo krótsza i bardziej szczegółowa. Nie mogę sobie na niej wyobrazić więcej niż dwóch czy trzech nazwisk. Prawdopodobnie i kapitan, i porucznik należeli do tej samej jednostki, co zawęzi spis nazwisk podejrzanych kapitanów. Dlatego myślę, że nie jest to taki daleki strzał.

- Cóż, możesz znaleźć głównego podejrzanego, ale nigdy nie wydusisz z niego przyznania się do winy.

- Odnajdźmy najpierw świadka i podejrzanego - odparł Karl. - O resztę będziemy się martwili później.

Myślałem przez dłuższą chwilę, po czym powiedziałem:

- Wspomniałeś, że tam wtedy byłem. Dla twojej informacji, w mieście



stacjonowały wojska południowowietnamskie, a nie amerykańskie. Nasi siedzieli w stanowiskach artylerii wokół miasta. Jesteś pewien, że ci dwaj z kawalerii byli w mieście?

- W liście jest to wyraźnie zaznaczone. Czemu pytasz?

- Może ci dwaj Amerykanie byli zaangażowani przy armii południowowietnamskiej jako doradcy - Military Assistance Command, Vietnam<sup>3</sup>. MACV. Prawda?

- Istnieje taka możliwość.

- Tak więc to zawęźa jeszcze pole poszukiwań. Dobrze ci radzę, wykonaj trochę pracy papierkowej, zanim zdecydujesz się wysłać kogoś do Wietnamu.

- Chcemy prowadzić dochodzenia równoległe.

- To twoje przedstawienie.

Podejrzewałem, że CID pracował nad tym znacznie dłużej, niż przyznawał Karl. Podejrzewałem, że już zawęzili listę możliwych podejrzanych i ofiar, a może nawet mają już swojego głównego podejrzanego. Nie mówili tego jednak Paulowi Brennerowi. CID chciało tylko, żebym znalazł jedyne naoczne świadka zbrodni. Zwróciłem się do pułkownika Hellmanna:

- To ciekawa sprawa i moje zmysły psa gończego faktycznie są pobudzone. Ale nie muszę mieć wylatanych kilometrów do południowowschodniej Azji. Przychodzi mi na myśl kilku gości, którzy więcej by na tym skorzystali.

- Nie ma sprawy - powiedział Hellmann i zmienił temat. - Widujesz się wciąż z panną Sunhill?

Uwielbiam, kiedy ludzie pytają o coś, co sami już wiedzą. Odparłem:

- Może ją byś o to zapytał?

- Szczerze mówiąc, już pytałem. Najwyraźniej w waszym związku istnieje jakiś problem, dlatego też pomyślałem, że będziesz chętny podjąć się zamorskiego zadania.

- W porządku. Aruba. I trzymaj się z dala od mojego życia osobistego, dobrze?

- Panna Sunhill wciąż pracuje dla CID, a jako jej oficer dowodzący mam prawo zadawać jej pewne osobiste pytania.

- Za tym właśnie w armii tęsknię.

Karl zignorował to i zapytał:

- A tak przy okazji, czy nie szukasz zatrudnienia w cywilu? W egzekucji prawa?

- Być może.

- Nie wyobrażam sobie, by satysfakcjonowała cię bezczynność na emeryturze.

- Mam mnóstwo do roboty.

- Mógłbym ci pomóc w znalezieniu posady. FBI zatrudnia wielu byłych pracowników CID. To zadanie dobrze by wyglądało w twoich aktach.

- Nie wspominając o nekrologu.

- Nekrolog też by się tam świetnie wpasował.

Karl nie żartuje zbyt często, więc z grzeczności zaśmiałem się cicho. To chyba sprawiło, że poczuł się pewniej, dlatego zaczął znów naciskać.

- Czy mówiłem ci już, że Wydział awansuje cię z mocą wsteczną na Starszego Oficera Technicznego Piątej Rangi i że na nowo wyliczy twoją emeryturę?

- Podziękuj im ode mnie.

- W zamian za jedynie dwa do trzech tygodni twojego czasu.

- Zawsze jest jakiś haczyk.

Hellmann zatrzymał się i zapalił kolejnego papierosa. Staliśmy naprzeciwko siebie w świetle lampy ulicznej. Hellmann wypuścił z płuc kłąb dymu i powiedział:

- Możemy wziąć do tej roboty kogoś innego, ale twoje nazwisko jest na naszej liście na pierwszym, drugim i trzecim miejscu. Nigdy cię nie prosiłem o przysługę...

- Oczywiście, że prosiłeś.

- Wyciągałem cię też z niejednej cholernie trudnej sytuacji, Paul.

- W którą sam mnie wcześniej wmanewrowałeś.

- Sam się w nie wmanewrowywałeś. Bądź wobec siebie szczery.

- Zimno tu. Napiłbym się. Za dużo palisz.

Odwróciłem się i odszedłem.

Koniec spotkania. Koniec Karla. Szedłem dalej, wyobrażając sobie, jak stoi pod latarnią, pali papierosa i patrzy za mną. Jeden problem z głowy.

Z jakiegoś powodu jednak zacząłem zwalniać kroku. Różne myśli pojawiły się w moim przemarzniętym mózgu. Jedną z nich była oczywiście myśl o Cynthia. „Napisz drugi akt, Paul”. Zostałem wmanewrowany, czy co?

Musiałem to wszystko przemyśleć. Nie mogłem uwierzyć, by Cynthia chciała ryzykować moim życiem, by podratować nasz związek. Prawdopodobnie faktycznie dokładnie nie wiedziała, o co chodziło Hellmannowi.

Idąc dalej, zacząłem rozmyślać na mój ulubiony temat: o sobie. Co było najlepsze dla Paula Brennera? Wyobraziłem sobie wyjazd do Wietnamu i powrót w glorii chwały - za dwoma ostatnimi razami tak się nie wydarzyło, ale może teraz? Potem jednak przyszedł inny obraz: powrotu do domu w skrzyni.

Znowu znalazłem się w kręgu światła lampy, ale już dalej nie szedłem. Odwróciłem się w stronę Karla Hellmanna. Gapiliśmy się na siebie przez ciemność, stojąc w świetlnych plamach. Krzyknąłem do niego:

- Czy będę miał jakieś kontakty w Wietnamie?

- Oczywiście - odkrzyknął. - Jeden w Sajgonie i jeden w Hanoi. Poza tym może w Hue też ktoś pomoże. Misję już mamy, brakuje tylko kogoś, kto by ją wypełnił.

- A ile tej osobie zajmie jej wypełnienie?

- Będziesz miał dwudziestojednodniową wizę turystyczną. Dłuższy pobyt mógłby wzbudzić podejrzenia. Przy odrobinie szczęścia wrócisz do domu wcześniej.

- Przy odrobinie pecha znajdę się w domu jeszcze szybciej.

- Myśl pozytywnie. Wizualizuj sukces.

Rzeczywiście, natychmiast wyobraziłem sobie wielu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu z mojego powodu, pijących whisky: przyjęcie powitalne albo irlandzką stypę.

Nie mam nic przeciwko niebezpiecznym zadaniom. Dzięki nim byłem kiedyś na szczycie. Ale pozostawała jeszcze ta myśl o Wietnamie... koncepcja, że wcześniej uniknąłem swojego przeznaczenia i teraz ono znów puka do moich drzwi. Nie była to uspokajająca perspektywa.

- A jeśli mi się nie uda - zapytałem Karla - czy moje nazwisko pojawi się na Ścianie?

- Zajmę się tym. Ale myśl pozytywnie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz pojechać tam ze mną?

- Jestem najzupełniej pewien.

Obaj się roześmialiśmy.

- Kiedy wyruszam? - zapytałem.

- Jutro rano. Bądź na Dulles punktualnie o ósmej. Informacje na temat spotkania na lotnisku prześlę ci mailem.

- Mój własny paszport?

- Tak. Chcemy lekkiego kamuflażu. Przyjaciół na lotnisku będzie miał twoją wizę, bilety i rezerwacje hotelowe, pieniądze oraz parę rzeczy do zapamiętania. Masz być czysty.

- To wszystko?

- Wszystko. Napijesz się drinka?

- Kiedy wrócę do domu. Do zobaczenia.

- Jeszcze jedno - dorzucił Karl. - Zapewne powiesz Cynthii, że wyjeżdżasz. Nie wspominaj jej o szczegółach. Chciałbyś, żebym z nią porozmawiał, kiedy już cię nie będzie?

- Masz na myśli koniec naszego spotkania, śmierć czy wyjazd do Azji?

- Porozmawiam z nią, kiedy opuścisz kraj.

Nie odpowiedziałem.

- Cóż - powiedział Karl. - Powodzenia. I dziękuję.

Gdybyśmy bardziej się lubili, podalibyśmy sobie dłonie, a tak tylko zasalutowaliśmy sobie bez entuzjazmu, dotykając czapek, po czym odwróciliśmy się na pięcie i odmaszerowaliśmy, każdy w swoją stronę.

Po spotkaniu z Karlem wypiliśmy kilka samotnych drinków w domu, po czym wysłałem maila do Cynthii. Nie powinno się pić, kiedy ma się dostęp do jakiegokolwiek formy komunikacji – maila, komórki, telefonu czy faksu. Wydrukowałem sobie tę wiadomość i schowałem do torby podróźnej z zamiarem przeczytania jej ponownie rankiem, żeby zobaczyć, jak bardzo byłem pijany. Wykasowałem też ją z komputera na wypadek, gdyby następnymi ludźmi, którzy do niego zajrzą, byli pracownicy Wewnętrznego Bezpieczeństwa CID.

W mojej skrzynce pocztowej była również wiadomość od Karla z instrukcjami dotyczącymi spotkania na lotnisku. Krótki tekst kończył się słowami: „Jeszcze raz dzięki. Powodzenia. Do zobaczenia”.

Nie zachęcał, bym do niego zadzwonił czy choćby odpowiedział na tego maila. Nie pozostało nic do powiedzenia. Wykasowałem wiadomość.

Zostawiłem liścik mojej gospodyni z informacją, że nie będzie mnie przez jakieś trzy tygodnie, i z prośbą, by zajęła się w tym czasie domem. Nawet trochę posprzątałem na wypadek, gdyby CID zajrzało tu przed nią w poszukiwaniu poufnych informacji pozostawionych przez zmarłego. Zawsze sprzątam; nie chciałbym być zapamiętany jako facet, który zostawiał brudną bieliznę na podłodze.

O siódmej następnego ranka sprawdziłem pocztę, ale Cynthia nie odpowiedziała na wiadomość z ostatniej nocy. Może sama jej jeszcze nie przeczytała.

Na zewnątrz zabrzmiał klakson, wziąłem więc niewielką walizkę i torbę podróźną, po czym wyszedłem na zimny ciemny poranek bez płaszcza, zgodnie z instrukcją. W Sajgonie było słonecznie, temperatura powietrza wynosiła 27 stopni – tak przynajmniej twierdził *herr* Hellmann.

Wsiadłem do czekającej taksówki, wymieniliśmy uprzejmości z kierowcą i pojechaliśmy na lotnisko Dulles. O tej porze czekała nas półgodzinna przejażdżka. W innych okolicznościach pewnie pojechalibyśmy sam, ale długoterminowe parkowanie na lotnisku średnio by mi się opłacało.

Poranek był mroczny, może stąd się brały moje ponure myśli.

Przypomniałem sobie podobną wyprawę na lotnisko o świcie, wiele lat temu. Nazywało się Logan i znajdowało się w Bostonie, a kierowcą był mój ojciec. Prowadził swojego chevroleta z 1956 roku, który później stał się klasykiem, ale który wtedy był zwykłym starym gratem.

Moja trzydziestodniowa przepustka przed wyjazdem do Wietnamu właśnie się kończyła. Nadszedł czas na lot do San Francisco i dalej, na zachód.

Mamę zostawiliśmy płaczącą w domu. Była zbyt zdenerwowana, żeby zrobić choćby jajecznicę. Moi bracia spali.

Staruszek niewiele mówił podczas drogi. Dopiero wiele lat później dotarło do

mnie, co musiał przeżywać. Myślałem o tym, jak jego własny ojciec odprowadzał go na wojnę.

Dotarliśmy na lotnisko, zaparkowaliśmy i weszliśmy razem do terminalu. Było tam mnóstwo facetów w mundurach z workami żeglarskimi i torbami podróżnymi, mnóstwo ojców i matek, żon czy może narzeczonych, a nawet dzieci, prawdopodobnie rodzeństwa.

Wyróżniający się mundurami żandarmi przemierzali terminal parami, co jeszcze rok wcześniej byłoby niezwykłym widokiem. Kraj w czasie wojny to studium kontrastów: smutku i radości, rozstań i powrotów, patriotyzmu i cynizmu, parad i pogrzebów.

Leciałem American Airlines do San Francisco. Łatwo znalazłem właściwą kolejkę, składającą się głównie z żołnierzy piechoty, marynarki i lotnictwa oraz kilku cywilów, którzy najwyraźniej czuli się nie na swoim miejscu.

Ojciec chciał ze mną poczekać, ale większość rodzin opuściła już terminal, więc mu to wyperswadowałem. Chwycił mnie za rękę i rzekł:

- Wróć do domu, synu.

Przez chwilę myślałem, że chce, żebym pojechał teraz razem z nim i zapomniał o całej tej idiotycznej historii. Potem zrozumiałem, że chodziło mu o to, abym wrócił żywy. Spojrzałem mu w oczy i odparłem:

- Wrócę. Opiekuj się mamą.

- Tak. Powodzenia, Paul - powiedział i odszedł. Parę minut później dostrzegłem go, jak przygląda mi się przez szklane drzwi. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, odwrócił się i poszedł.

Sprawdzono mi bilet i podszedłem do bramki. Tutaj nie było już niemal żadnych rodzin. W tamtych czasach można było odprowadzać ludzi do samych bramek. Przeszło mi przez głowę, że może ojciec znów się zjawi albo nawet moja dziewczyna, Peggy, mimo że ją przekonałem, by nie przychodziła na lotnisko. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć.

Pomimo że na lotnisku było wielu facetów w moim wieku z okolic Bostonu, nie spotkałem nikogo znajomego. Przez cały następny rok szukałem znanych mi twarzy i często nawet wydawało mi się, że je widzę.

Stałem samotnie wśród ludzi, którzy milczeli, cicho rozmawiali lub płakali. Nigdy nie widziałem, żeby tak wielu ludzi zachowywało się tak cicho.

Kilku gotowych na kłopoty żandarmów stało na obrzeżach tłumu. Przyglądali się młodzieńcom mającym wkrótce opuścić dom i powędrować w stronę portów, gdzie zaokrętują się i ruszą na wojnę.

Cała ta scena sprawiała, że poczułem się nieswojo: żandarmi, w większości zniechęceni do służby żołnierze, ciche rodziny; wszystko to wywoływało bardzo nieamerykańskie wrażenie rządowej kontroli i nacisku. Ale była wojna - choć nie ta, najpopularniejsza w dziejach, wojna mojego ojca - a w czasie wojny nawet najzwyklejsze rządy stają się nieco nerwowe. Działo się to w listopadzie 1967 roku. Ruch antywojenny jeszcze nie do końca się rozkręcił, więc nie było na Logan

żadnych demonstrantów, choć już w San Francisco kilku z nich kręciło się po lotnisku, a w bazie wojskowej w Oakland parę dni później cały ich tłum nakłaniał żołnierzy, żeby nie wyjeżdżali, a najlepiej, by zamiast sztuki wojennej uprawiali sztukę miłości.

Jeśli o to chodzi, moja szkolna dziewczyna Peggy Walsh była ładną, ale dość pruderyjną młodą panną, która w sobotę chodziła do spowiedzi, a w niedzielę przyjmowała komunię. Przed potańcówką w sali gimnastycznej liceum św. Brygidy wszyscy musieliśmy podnosić prawe dłonie, podczas gdy ojciec Bennet kazał nam wyrzekać się Szatana, pokus i grzechów cielesnych.

Szansa, byśmy z Peggy uprawiali seks w czasach pokoju, była mniej więcej taka jak szansa mojego ojca na wygraną w totka.

Uśmiechnąłem się do tej myśli i wróciłem do terażniejszości. Taksówkarz prowadził szybko, zupełnie jak mój ojciec wiele lat temu. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: „Kiedy się jedzie na wojnę, po co się spieszyć?”.

Zamknąłem oczy i odpłynąłem myślami do miesięcy, które poprzedzały moje oczekiwanie na samolot na Logan.

Do armii wstąpiłem jako prawiczek, ale podczas zaawansowanego szkolenia piechoty w forcie Hadley wraz z kilkoma bardziej awanturniczymi kumplami z baraków zapoznaliśmy młode dziewczyny z przędzalni bawełny – nazywaliśmy je bawełnianymi główkami, gdyż miały we włosach mnóstwo włókien. Stawka godzinowa była słaba, ale z powodu wojny pracy nie brakowało. Mimo to istniał lepszy sposób na zarobienie większych pieniędzy, i to mniejszym wysiłkiem. Te dziewczyny nie były prostytutkami i bardzo się starały, żebyśmy to rozumieli: były pracownicami przędzalni, patriotycznymi młodymi kobietami, i brały po dwadzieścia dolarów. Zarabiałem wtedy jakieś osiemdziesiąt pięć dolarów na miesiąc, więc nie był to tak dobry układ, jak mogłoby się wydawać.

Tak czy inaczej spędzałem każdą wolną niedzielę w tanim motelu, pijąc tanie wina i wyciągając bawełnę z włosów panny o imieniu Jenny, która mówiła rodzicom, że ma podwójną zmianę w przędzalni. Miała też chłopaka, miejscowego, o którym mówiła jak o ostatniej ofierze losu.

Zakochałem się w Jenny, co było do przewidzenia, ale kilka rzeczy stało nam na drodze: mój osiemdziesięciogodzinny tydzień szkolenia, jej sześćdziesięciogodzinny tydzień pracy, nasze słabo płatne posady i to, że zawsze byłem splukany (ponieważ płaciłem jej dwadzieścia dolarów za numerek), jej pozostałe randki, co przyprawiało mnie o zazdrość, moje nadciągające wezwanie do Wietnamu oraz jej niechęć do Yankees<sup>4</sup> i miłość do chłopaka-ofiary losu.

Nie licząc tych wszystkich rzeczy, myślę, że mogłoby nam się udać.

Poza tym była też Peggy, która nalegała, by nasza miłość pozostała czysta, czyli, innymi słowy, nie chodziliśmy do łóżka. Tymczasem ja, odkrywając zakazane rozkosze cielesne, dostałem obsesji na punkcie pokazania Peggy wszystkiego, czego właśnie nauczyła mnie Jenny.

Z tego też powodu po szkoleniu piechoty i spadochronowym, podczas trzydziestodniowej przepustki przed wyjazdem do Wietnamu, pracowałem we dnie i w nocy nad biedną Peggy Walsh.

Szkolenie piechoty nauczyło mnie, jak szturmować ufortyfikowane wzgórze, ale szturmowanie murów broniących dziewictwa Peggy Walsh było o wiele trudniejsze.

W głupiej chwili szczerości powiedziałem jej o Jenny. Peggy naprawdę się wkurzyła, ale że hormony też zaczęły w niej buzować, wraz z siarczystem policzkiem dała mi swoje przebaczenie. Poinformowała mnie, że rozumie, iż mężczyźni nie potrafią kontrolować swych zwierzęcych żądz, i przyjmuje do wiadomości, że niedługo lecę do Wietnamu i że mogę nigdy nie wrócić albo że mogą mi tam odstrzelić fiuta, czy coś podobnego.

Tak więc ostatnie siedem dni mojej przepustki spędziłem w intymnej atmosferze z Peggy w jej sypialni - jej rodzice w tym czasie byli w pracy. Byłem zaskoczony (szczerze mówiąc, wręcz zaszokowany), kiedy odkryłem, że Peggy Walsh była jakieś dziesięć razy gorętsza od Jenny, której nazwiska nigdy nie poznałem. Co więcej, z jej włosów nigdy nie musiałem wyciągać bawełny.

Gdy wyrwałem się z zamyślenia, zauważyłem, że taksówkarz przygląda mi się we wstecznym lusterku. Zapytał:

- Jakie linie?

Spojrzałem przez okno i zobaczyłem, że byliśmy na Dulles. Odparłem:

- Asiana.

- Dokąd pan leci?

- Wietnam.

- Tak? Myślałem, że do jakiegoś sympatycznego miejsca. Widziałem, że się pan uśmiecha.

- Bo właśnie wróciłem z pewnego sympatycznego miejsca.

Zgodnie z e-mailowymi wskazówkami *herr* Hellmanna podążyłem bez zwłoki do poczekalni Asiana Airlines, znanej jako Klub Porannego Spokoju.

Wpadłem do środka i, jak zalecała instrukcja, pokazałem paszport ślicznej wschodnioazjatyckiej panience siedzącej za biurkiem. Na jej plakietce widniało nazwisko Rita Chang. Zwykle trzeba być członkiem klubu albo wylegitymować się biletem klasy pierwszej lub business class, żeby wejść do poczekalni. Pani Rita Chang spojrzała jednak na mój paszport i powiedziała:

- A, pan Brenner. Pokój konferencyjny B.

Wszedłem do szatni i zostawiłem tam walizkę, po czym przyjrzałem się swojemu odbiciu w pełnowymiarowym lustrze i przeczesalem włosy. Miałem na sobie spodnie khaki, koszulę bez krawata, niebieski blezer i mokasyny - odpowiednie ubranie do business class i do hotelu Rex w Sajgonie, tak jak zalecił mi Karl.

Wziąłem swoją torbę podróżną, przeszedłem do poczekalni i zamówiłem czarną kawę. Był tam rozstawiony bufet śniadaniowy, na który składały się ryż, ośmiornica,

wodorosty i solona ryba, ale bez chili. Schowałem do kieszeni trzy torebki słonych orzeszków. Następnie udałem się do pokoju konferencyjnego B, który okazał się małym, wykładanym drewnem pomieszczeniem z okrągłym stołem i krzesłami. Był pusty.

Położyłem na ziemi torbę, usiadłem i zacząłem sączyć kawę. Otworzyłem też torebkę orzeszków i zjadłem kilka, czekając na kogokolwiek, kto miałby się zjawić.

Od mojej ostatniej wizyty w Wietnamie wspiałem się trochę po drabinie społecznej, ale to uczucie w żołądku nie różniło się zbytnio od tego, które czułem wtedy.

Znowu pomyślałem o Peggy Walsh.

Nalegała, byśmy poszli do spowiedzi przed moim wyjazdem do Wietnamu. Ja jednak wolałem dostać od niej kolejny cios, niż ściągnąć na siebie gniew ojca Bennetta za to, że pieprzyłem jego ulubioną dziewczynę!

Pomyślałem jednak: „co mi tam?”. Potrzebowałem rozgrzeszenia, poszedłem więc z Peggy na sobotnią spowiedź do św. Brygidy. Dzięki Bogu ojciec Bennett tego dnia nie spowiadał. Moja dziewczyna weszła do jednego konfesjonału, ja do drugiego. Nie pamiętam, jak nazywał się ten ksiądz, ale jego głos brzmiał młodo za czarną zasłoną. Zacząłem łagodnie, od takich rzeczy jak kłamstwo i przeklinanie, po czym przeszedłem do gwoźdźcia programu. Księdzu nie do końca puściły nerwy, lecz nie był ze mnie zadowolony. Zapytał, kim była ta młoda dama, więc odparłem, że to Sheila O'Connor, z którą zawsze chciałem się przespać, ale nigdy mi się to nie udało. Sheila miała i tak słabą reputację, dlatego też nie czułem się za bardzo winny, że ją w to wrobiłem. Jestem prawdziwym dżentelmenem.

Mój spowiednik dałby mi pewnie do odmówienia z milion razy *Zdrowaś, Mario* i *Ojcze nasz*, jednak powiedziałem na koniec:

- Ojcze, za dwa dni wyjeżdżam do Wietnamu.

Zapadła długa cisza, po czym ksiądz się odezwał:

- Na pokutę odmów *Zdrowaś, Mario* i *Ojcze nasz*. Powodzenia, synu, i niech Bóg ma cię w swojej opiece. Będę się za ciebie modlił.

Byłem szczęśliwy, że mi się upiekło, ale w połowie *Zdrowaś, Mario* zdałem sobie sprawę, że wyznanie, iż jadę do Wietnamu, zabrzmiało jak prośba: „Ojcze, miej nade mną litość”. Poczułem, jak oblewa mnie zimny pot.

Biedna Peggy spędziła na kolanach dobrą godzinę, odmawiając różaniec, gdy tymczasem ja poszedłem grać w piłkę z jakimiś gośćmi na boisku liceum św. Brygidy.

Następnie przysięgliśmy sobie z Peggy wierność przez te dwanaście miesięcy, kiedy mnie nie będzie. Tego roku złożono pewnie z pół miliona takich obietnic. Może nawet niektóre z nich zostały dotrzymane.

Wcześniej, jeszcze przed wyjazdem, rozmawialiśmy z moją dziewczyną o małżeństwie, ale tak długo broniła swojej cnoty, że kiedy odkryłem, jaka jest



gorąca, już było za późno na ślub. Nieoficjalnie byliśmy zaręczeni i miałem nadzieję, że oficjalnie nie będziemy czekać na dziecko.

Ta historia mogła mieć szczęśliwe zakończenie, gdyż pisywaliśmy do siebie regularnie, a Peggy nadal mieszkała z rodzicami i pracowała wraz ze swoją matką w sklepiku z artykułami metalowymi, należącym do jej ojca. Co ważniejsze, nie zwariowała jak większość kraju w sześćdziesiątym ósmym, a jej listy przepełnione były patriotycznymi i pozytywnymi uczuciami względem wojny, których ja osobiście nie podzielałem.

Wróciłem do domu w jednym kawałku, gotów podjąć życie w momencie, w którym je zostawiłem. Miałem trzydziestodniową przepustkę i chciałem wykorzystać każdą minutę.

Coś jednak się zmieniło, gdy mnie nie było. Kraj się zmienił, moi znajomi byli albo w wojsku, albo na studiach, albo nie bardzo chcieli rozmawiać z powracającymi żołnierzami. Nawet południowy Boston, bastion patriotyzmu klasy pracującej, był podzielony tak jak cała reszta kraju.

Prawdę mówiąc, największa zmiana nastąpiła we mnie. Wyczułem to, gdyż podczas całej długiej przepustki nie za bardzo mogłem się pozbierać.

Moja dziewczyna w jakiś cudowny sposób odzyskała dziewictwo i kategorycznie odmówiła mi seksu, dopóki się nie pobierzemy. A to wszystko działo się w czasach, kiedy ludzie pieprzyli się jak króliki z kompletnie nieznanymi osobami.

Peggy Walsh była śliczna i słodka jak nigdy, ale Paul Brenner stał się zimny, odległy i roztargniony. Ja to wiedziałem, ona również. Zaserwowała mi też coś, czego nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę: „Stałeś się taki sam jak inni, którzy powrócili”. W wolnym przekładzie znaczyło to: „Jesteś martwy. Czemu nadal się ruszasz?”.

Powiedziałem jej, że potrzebuję trochę czasu dla siebie, więc zdecydowaliśmy, że damy sobie jeszcze pół roku, dopóki nie wyjdę z wojska. Pisała do mnie do fortu Hadley, ale nigdy nie odpisałem, więc listy Peggy się urwały.

Kiedy mój czas w armii dobiegł końca, podjąłem decyzję, żeby zaciągnąć się jeszcze na trzy lata, które przerodziły się niemal w trzydzieści. Niczego nie żałuję, ale do dziś często się zastanawiam, jak by wyglądało moje życie, gdyby nie było tej wojny i gdybym ożenił się z Peggy Walsh.

Co do nas już więcej się nie spotkaliśmy. Od przyjaciół się dowiedziałem, że wyszła za miejscowego chłopaka, który miał sportowe stypendium na Uniwersytecie Stanowym w Iowa. Z jakiegoś powodu tam już zostali, dwoje bostońskich dzieciaków na środku pustkowia. Mam nadzieję, że mieli dobre życie. Jak widać, wciąż od czasu do czasu o niej myślę. Szczególnie zaś myślałem w chwili, gdy miałem powrócić do miejsca, które nas rozdzieliło i na zawsze zmieniło nasze życie.

Mój kontakt nadal się nie pojawił, a ja skończyłem już kawę oraz drugą paczkę orzeszków. Zegar na ścianie wskazywał dziesięć po ósmej. Rozważałem, czy nie zrobić tego, co powinienem był uczynić poprzednim razem – wynieść się z tego

cholernego lotniska i wrócić do domu.

Siedziałem jednak dalej, myśląc o tym i owym: Wietnam, Peggy Walsh, Wietnam, Cynthia Sunhill.

Wyjąłem z torby wydrukowany mail do Cynthii i przeczytałem:

*Droga Cynthio!*

*Jak zapewne mówił ci Karl, przyjąłem zadanie w południowowschodniej Azji. Powinienem wrócić za jakieś dwa-trzy tygodnie. Oczywiście jest szansa, że napotkam pewne trudności. Jeśli tak się stanie, powinnaś wiedzieć, że moja decyzja o przyjęciu tej misji nie ma nic wspólnego z tobą. Chodzi wyłącznie o mnie.*

*Co do nas, od pierwszego dnia w Brukseli była to burzliwa znajomość. Wygląda na to, że los, praca i życie zmówiły się, byśmy nigdy tak naprawdę się nie poznali.*

*Mam jednak plan, jak nas ze sobą połączyć, spotkać się w połowie drogi, dosłownie i w przenośni. W czasie wojny samotni żołnierze brali tygodniowy urlop i jechali w egzotyczne miejsca, gdzie mogli trochę popuścić pasa. Żonaci oraz ci zaangażowani w poważne związki spotykali swoje panie w Honolulu. Zobaczymy się więc w Honolulu za dwadzieścia jeden dni, licząc od dzisiaj, w hotelu Royal Hawaiian. Rezerwacja na twoje i moje nazwisko. Przygotuj się na dwutygodniowy urlop na jednej z odległych wysp.*

*Jeśli zdecydujesz się nie przyjeżdżać, zrozumiem. Pewnie i tak już podjęłaś decyzję. Proszę, nie odpowiadaj na tego maila. Po prostu przyjeźdź. Albo nie przyjeżdżaj.*

*Ściskam,*

*Paul*

Nie było to ani żenująco ckliwe, ani sentymentalne, więc nie pożałowałem, że to wysłałem. Nie było też za wielu błędów, co jest rzadkością, jeśli chodzi o maile.

Tego ranka, jak już powiedziałem, nie dostałem odpowiedzi, co mogło oznaczać, że nie otworzyła jeszcze skrzynki albo że poważnie potraktowała słowa „proszę, nie odpowiadaj na tego maila”. Tak samo postąpiła Peggy Walsh, kiedy jej powiedziałem, żeby nie przychodziła na lotnisko.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł dobrze ubrany mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Niósł dwa kubki kawy i plastikową torbę ze sklepu z pamiątkami. Postawił torbę i kawy na stole, wyciągnął dłoń i powiedział:

- Cześć, jestem Doug Conway. Przepraszam za spóźnienie.

- Mógłbyś mnie przeprosić, że w ogóle się pojawiłeś.

Doug Conway się uśmiechnął i usiadł naprzeciwko.

- Proszę, ta kawa jest dla ciebie - powiedział. - Pijesz czarną, prawda?

- Dzięki. Chcesz orzeszków?

- Jadłem śniadanie. Poinstruowano mnie, żebym ci najpierw podziękował za przyjęcie tego zlecenia.

- Kto mi dziękuje?

- Wszyscy. O to się nie martw.

Sączyłem kawę i obserwowałem pana Conwaya. Wyglądał na bystrego gościa i jak dotąd mówił z sensem. Miał na sobie granatowy garnitur i stonowany niebieski krawat. Miałem wrażenie, że mówi szczerze, więc nie mógł być z CIA. Jestem szczególnie wyczulony na CID, więc stamtąd też nie był. Zapytałem:

- FBI?

- Tak. Ta sprawa, jeśli uda się ją rozwiązać, ma wymiar wewnętrzpaństwowy. Żadnego CIA, wywiadu wojskowego, wywiadu Departamentu Stanu. Tylko FBI i wojskowe CID. Wygląda to na morderstwo, więc zajmiemy się tym jak morderstwem.

Cóż, w y g l ą d a ł na szczerego, ale na pewno taki nie był. Zapytałem go:

- Czy ktokolwiek w ambasadzie w Hanoi będzie wiedział, że tam jestem?

- Zdecydowaliśmy się nie rozprzestrzeniać tej informacji.

- A więc kto będzie wiedział?

- Tylko ci, którzy naprawdę powinni, czyli praktycznie nikt. Ambasada i konsul są przydatni jak piąte koło u wozu. Ja tego oczywiście nie powiedziałem. Na szczęście mamy w ambasadzie człowieka z FBI. Zajmuje się tam szkoleniem wietnamskiej policji w walce z handlem narkotykami. Nazywa się John Eagan i dostał wiadomość o twojej wycieczce. To twój kontakt w razie kłopotów.

- Dlaczego John Eagan sam nie znajdzie tego faceta, którego ja mam znaleźć?

- Jest zajęty treningami i wykładami. Poza tym nie może poruszać się jak turysta.

- A poza tym nie chcecie żadnego powiązania tej sprawy z rządem USA, zgadza się?

Pan Conway, oczywiście, nie odpowiedział. Powiedział za to:

- Czy masz jakieś wstępne pytania, nim zacznę odprawę?

- Myślałem, że właśnie jedno zadałem.

- W porządku, zatem zaczynam. Po pierwsze, twoje zadanie jest jasne, ale nie proste. Masz odnaleźć Wietnamczyka o nazwisku Tran Van Vinh - to już wiesz. Jest świadkiem w możliwej sprawie o morderstwo.

Pan Conway ciągnął tak przez jakiś czas, jak przystało na człowieka z FBI i jakby chodziło o zwykłą sprawę morderstwa, którą trzeba rozwiązać i przekazać prokuratorowi generalnemu.

Przez chwilę popijałem kawę i pogryzałem orzeszki z ostatniego opakowania, po czym przerwałem jego prawny wywód i powiedziałem:

- W porządku. A jeśli znajdę tego Tran Van Vinha, mam mu powiedzieć, że wygrał darmową wycieczkę do Waszyngtonu, do Dystryktu Kolumbii, tak?

- Hm... nie wiem.

- Cóż, ja tym bardziej. Co mam zrobić z tym człowiekiem, jeśli odnajdę go żywego?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni. Wciąż staramy się odnaleźć możliwych podejrzanych i możliwą ofiarę morderstwa. Jeśli nam się to uda, prześlemy ci zdjęcia tych ludzi z czasów, gdy służyli w armii. Jeżeli tak będzie i znajdziesz Tran Van Vinha, wówczas pokażesz mu zdjęcia i, jak w przypadku każdej innej sprawy kryminalnej, każesz zidentyfikować podejrzanego o morderstwo oraz ofiarę.

- Jasne, robiłem to chyba z parę tysięcy razy. Ale od tamtego czasu mój wietnamski zdążył się trochę przykurzyć.

- W każdym miejscu uda ci się wynająć tłumacza.

- W porządku. A może wziąłbym kamerę albo dyktafon?

- Myśleliśmy o tym, ale mógłbyś napotkać kłopoty w urzędzie celnym. Twój kontakt w Sajgonie da ci kamerę albo dyktafon. Czy masz ze sobą aparat?

- Tak, zgodnie z instrukcją. Jestem turystą. Może przyda mi się telefon komórkowy?

- Ten sam problem. Mają tam na lotniskach prawdziwą paranoję, a jeśli znajdą w bagażach takie rzeczy, zaczną być podejrzliwi. Z wizą czy bez, mogą cię zawrócić i na dodatek dać ci kopniaka na drogę zupełnie bez powodu. A my potrzebujemy cię na miejscu.

- W porządku.

- Możemy ci załatwić komórkę w Sajgonie. Musisz jednak wiedzieć, że ich system telefonii komórkowej jest bardzo prymitywny i jest tam więcej martwych stref niż na cmentarzu.

- A jeśli zdecydujecie, że chcecie tego gościa w Waszyngtonie, to co wtedy?

- Możemy się zwrócić do wietnamskiego rządu i wyjaśnić im sytuację. Będą współpracować.

- Skoro nie chcecie ich współpracy przy znalezieniu tego człowieka, dlaczego mieliby współpracować, kiedy się dowiedzą, że weszliście w ich małym państewku policyjnym i odnaleźliście ich obywatela, którego potrzebujecie przy procesie o morderstwo?

Doug Conway patrzył na mnie przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Karl miał rację co do ciebie.

- Karl zawsze ma rację. Proszę, odpowiedz mi na pytanie.

Conway mieszał przez parę sekund kawę, a w końcu się odezwał:

- W porządku, panie Brenner, oto odpowiedź na twoje pytania, przeszłe, teraźniejsze i te, których jeszcze nie zadałeś. Prawda jest taka, że to wszystko jeden wielki kit. Ty to wiesz i my to wiemy. Za każdym razem, gdy cię okłamujemy, znajdujesz drobne nieścisłości, więc zadajesz następne pytanie. Wtedy rzucamy ci więcej kitu, a tobie rodzą się nowe pytania. To naprawdę denerwujące, poza tym

zabiera mnóstwo czasu. Wobec tego powiem ci teraz kilka rzeczy, które nie są kitem. Gotów?

Przytaknąłem.

- Po pierwsze, chodzi tu o coś więcej niż tylko o morderstwo sprzed trzydziestu lat, ale to już wiesz. Po drugie, w twoim najlepszym interesie leży nie wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Po trzecie, to jest naprawdę ważne dla naszego kraju. Po czwarte, potrzebujemy ciebie, ponieważ jesteś w tym dobry, ale też dlatego, że jeśli wpadniesz w tarapaty, jesteś czysty, bo nie pracujesz dla rządu. Jeżeli ci się nie powiedzie, o niczym nie wiesz, i to właśnie im mówisz, bo taka jest prawda. Trzymaj się swojej wersji - wybrałeś się w nostalgiczną podróż po Wietnamie. W porządku? Nadal chcesz jechać?

- Nigdy nie chciałem jechać.

- Nie mam ci tego za złe. Ale wiesz, że tam pojedziesz, i ja też to wiem. Znudziła ci się już emerytura, masz głęboko zakorzenione poczucie obowiązku i lubisz życie na krawędzi. Byłeś w piechocie i dostałeś odznaczenie za męstwo, zostałeś żandarmem, a potem detektywem. Nigdy nie byłeś księgowym ani damskim fryzjerem. A teraz siedzisz tutaj i rozmawiasz ze mną. Obaj dobrze wiemy, że nie wrócisz tego ranka do domu.

- Skończyłeś już ten psychologiczny bełkot?

- Jasne. To twoje bilety, Asiana Airlines do Seulu w Korei, potem Vietnam Airlines do miasta Ho Chi Minh, znanego nam, staruszkom, jako Sajgon. Masz rezerwację w hotelu Rex - jest ekskluzywny, ale Sajgon to niedrogie miasto, więc pan Paul Brenner, emerytowany starszy oficer techniczny, może sobie na niego pozwolić.

Conway wyciągnął jakiś papier z torby i powiedział:

- To twoja wiza, którą zdobyliśmy w wietnamskiej ambasadzie dzięki autoryzowanej kopii twojego paszportu wyciągniętej z Departamentu Stanu.

Podał mi kartkę taniego papieru, zadrukowaną na czerwono. Popatrzyłem na nią bez entuzjazmu.

- A tutaj - ciągnął - jest nowy paszport, dokładna kopia twojego, który mi teraz oddasz. W tym paszporcie znajduje się pieczętka ambasady Wietnamu, zezwalająca ci na wstęp do ich kraju. Pozostałe strony są puste, gdyż Wietnamczycy są podejrzliwi wobec osób, które tak jak ty mają w swoich paszportach zbyt wiele pieczętek.

Podał mi nowy paszport, a ja oddałem mu stary. Przyjrzałem się temu, który dostałem. Zauważyłem, że nawet zdjęcie było takie samo jak w poprzednim oraz że zawodowy fałszerz FBI w swojej uprzejmości podpisał go za mnie.

- To niesamowite - skomentowałem - że byliście w stanie zrobić kopię mojego paszportu, użyć go do zdobycia wizy w wietnamskiej ambasadzie, i to wszystko w ciągu mniej niż dwunastu godzin, odkąd przystałem na tę misję.

- Tak, rzeczywiście niesamowite - zgodził się pan Conway. Podał mi ołówek i powiedział:

- Wpisz dane osoby, którą należy powiadomić w razie wypadku, dokładnie tak jak w starym paszporcie - twojego prawnika, jak sądzę.

- Racja.

Ściśle rzecz biorąc, chodziło o prawnika CID, ale czy był sens o tym wspominać? Wpisałem jego dane, oddałem ołówek i włożyłem paszport do kieszeni na piersi.

- Kiedy dotrzesz do Seulu, zrób kilka kserokopii swojej wizy i paszportu. W Wietnamie wszyscy będą chcieli go zatrzymać - hotele, wypożyczalnie skuterów, czasem nawet policja. Zwykle jednak wystarczy im ksero.

- Dlaczego by nie wysłać ksero mnie do Wietnamu?

Conway zignorował mnie i mówił dalej:

- Sam zorganizujesz sobie w Wietnamie transport naziemny. W Sajgonie spędzisz trzy dni i na tyle masz zarezerwowany pobyt w hotelu Rex - piątkowa noc, sobota i niedziela. W poniedziałek opuścisz Sajgon. Możesz tam robić, co ci się żywnie podoba, tylko niech cię nie wyrzucą za palenie dziwnych papierosów, za sprowadzenie prostytutki do pokoju hotelowego czy za coś podobnego.

- Nie potrzebuję umoralniających gadek od FBI.

- Rozumiem, ale mam dać ci pełne instrukcje, zgodnie z moimi instrukcjami. Karl streścił mi sprawę i wiem, że jesteś zawodowcem. W porządku? W Sajgonie skontaktuje się z tobą pewien Amerykanin, mieszkający tam na stałe. Nie będzie miał żadnych powiązań z rządem - to biznesmen, który po prostu wyświadcza przysługę Wujowi Samowi. Spotkanie odbędzie się w restauracji mieszczącej się na dachu hotelu Rex, w sobotę, w okolicach godziny siódmej. Będzie to twoja druga noc pobytu w Sajgonie. To wszystko, co powinieneś wiedzieć. Im mniej będzie to zaplanowane, tym bardziej na niezaplanowane będzie wyglądało. W porządku?

- Jak dotąd.

- Ta osoba przekaże ci numer. Będzie się on odnosił do klucza mapy w twoim przewodniku.

Pan Conway sięgnął do torby i wyjął z niej książkę, którą położył na stole.

- To przewodnik Lonely Planet po Wietnamie, wydanie trzecie. Jest to najpowszechniej używany tam przewodnik, więc jeśli z jakiegoś powodu zabiorą ci go tamci idioci, celnicy na lotnisku Tan Son Nhat, albo go zgubisz, albo ktoś ci go ukradnie, możesz zwyczajnie odkupić go od innego turysty lub też załatwi ci go twój kontakt w Sajgonie. Będziesz potrzebował tej książki kilka razy. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Zagadkę tej liczby wyjaśnię ci za chwilę. Gdy opuścisz w poniedziałek Sajgon, aż do soboty masz wyglądać i zachowywać się jak turysta. Rób, co chcesz, ale powinieneś odwiedzić niektóre swoje stare pola bitew. Służyłeś chyba między innymi w rejonie Bong Son.

- Jeśli nie jest to część misji, to sobie raczej odpuszczę.

Conway patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym powiedział:

- Cóż, to nie jest rozkaz, lecz silna sugestia.

Nie odpowiedziałem.

Pan Conway pochylił się w moją stronę i dodał:

- Byłem tam w siedemdziesiątym. Czwarta Dywizja Piechoty, Centralne Wzgórza i kambodżańska inwazja - wróciłem w zeszłym roku, żeby poukładać sobie różne sprawy. To dlatego właśnie ja mam cię odprawić. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Prawda?

- Nie bardzo, ale kontynuuj.

- Podczas tych pięciu dni masz się zorientować, czy jesteś obserwowany albo śledzony. Ale nawet gdyby tak było, nie podejmuj żadnych działań. Obcokrajowców często tam śledzą i obserwują bez żadnego szczególnego powodu.

- Szczególnie Amerykanów.

- Dokładnie. Po pięciu dniach drogi dotrzesz do Hue, a dokładnie w sobotę, w wigilię księżycowego Nowego Roku - Tet. Masz rezerwację w Century Riverside Hotel. Od kontaktu w Sajgonie otrzymasz pewien numer, po czym przyjrzyj się mapie miasta Hue. Znajdziesz na niej atrakcje turystyczne ulokowane wokół miasta, oznaczone liczbami. Do wybranej w ten sposób lokalizacji pojedziesz następnego dnia, w niedzielę. Będzie to Nowy Rok, dzień wielkich tłumów i niewielu funkcjonariuszy policji. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- Istnieją alternatywne miejsca spotkań, co zaraz wyjaśnię.

Conway przedstawił mi szczegóły spotkania w Hue i podsumował:

- W Hue spotkasz się z Wietnamczykiem. To on cię znajdzie. Zapamiętaj hasło i odzew. On powie: „Jestem bardzo dobrym przewodnikiem”. Odpowiesz: „Ile sobie liczysz?”. On zaś odpowie: „Tyle, ile pan zechce zapłacić”.

- Czy to nie kwestia z jakiegoś filmu?

Pan Conway uśmiechnął się i odrzekł:

- Wiem, że nie jesteś przyzwyczajony do takich rzeczy i prawdę mówiąc, ja też nie. Obaj jesteśmy glinami, panie Brenner, a to co innego. Ale jesteś bystry, dorastałeś w czasach zimnej wojny, wszyscy czytaliśmy Jamesa Bonda, oglądaliśmy filmy szpiegowskie i tak dalej. Nie jest to więc całkiem obce ludziom naszego pokolenia, prawda?

- Prawda. Powiedz mi lepiej, po co ten kontakt w Sajgonie, skoro wszystko, czego potrzebuję, to jakaś liczba. Moglibyście mi ją przefaksować.

- Zdecydowaliśmy, że w Sajgonie może ci się przydać przyjaciel, a my potrzebujemy kogoś, z kim moglibyśmy się kontaktować, gdybyś zniknął z radarów.

- Jasne. Mamy już w Sajgonie konsulata?

- Właśnie miałem do tego dojść. Jak wiesz, odnowiliśmy niedawno kontakty dyplomatyczne z Wietnamem, mamy budynek ambasady i nowego ambasadora w Hanoi. Ambasada nie będzie się z tobą kontaktować bezpośrednio, ani w Hanoi, ani podczas twojej wycieczki. Mimo to, jako obywatel USA, możesz się do nich w razie potrzeby zgłosić. W takim przypadku zwracaj się do Johna Eagana, do nikogo

innego. Co dotyczy Sajgonu, inaczej miasta Ho Chi Minh, wysłaliśmy tam niedawno misję konsularną. Mają siedzibę w jakimś przejściowym, niezabezpieczonym, wynajętym lokalu. Nikt w konsulacie w Sajgonie nie wie o twojej misji.

- Czyli nie mogę wpaść do konsulatu w Sajgonie i prosić o azyl?

Zmusił się do uśmiechu i odparł:

- Nie mają za wiele przestrzeni biurowej, i tylko byś tam przeszkadzał. - Po czym dodał, *à propos* czegoś innego: - Wietnam znów staje się dla nas ważny.

Nie pytałem dlaczego, ale ważne dla rządu USA zawsze oznacza ropę, czasem narkotyki, a od czasu do czasu strategiczne rozmieszczenie wojsk i sojuszków. Sami sobie wybierzcie.

Pan Conway patrzył na mnie, przewidując pytanie o ważność Wietnamu, ale powiedziałem tylko:

- W porządku. Coś jeszcze?

- Musisz pamiętać, że jak już mówiłem, będzie w tym czasie święto Tet, księżycowy Nowy Rok - pamiętasz Tet z sześćdziesiątego ósmego. Cały naród odwiedza groby swoich bliskich w rodzinnych wioskach i robi wszystko inne, co się tam wtedy robi. Transport, komunikacja i noclegi stają się prawdziwym koszmarem, połowa populacji nie idzie do pracy, a typowy brak wydajności staje się jeszcze gorszy. Musisz być pomysłowy i cierpliwy. Tylko się nie spóźnij.

- Zrozumiano. Opowiedz mi więcej o tym facecie z Hue.

- Kontakt w Hue powie ci, dokąd dalej jechać, jeśli tylko sam będzie to wiedział - wytłumaczył Doug Conway. - Tran Van Vinh, jeśli żyje, mieszka prawdopodobnie na północ od Hue. Obcokrajowcy, a szczególnie Amerykanie, nie są zbyt mile widziani na wiejskich terenach dawnego północnego Wietnamu. Czeka cię wiele prawnych ograniczeń, nie wspominając o nieistniejącym transporcie. Ale będziesz musiał to wszystko przewyciężyć, jeśli tam właśnie przyjdzie ci pojechać. W porządku?

- Nie ma problemu.

- Niestety jest. Po pierwsze, obcokrajowcy nie mogą legalnie wynajmować oficjalnych, licencjonowanych przez rząd samochodów rządowej agencji turystycznej zwanej Vidotour - ale i tak byś ich nie chciał, by przeprowadzić tajną część swojej misji, nieprawdaż?

- Ma to sens.

- Są też prywatne agencje turystyczne oraz prywatne samochody z kierowcami, ale nie są one legalnie zarejestrowane i w niektórych miejscach nie istnieją albo po prostu nie można z nich korzystać. Zrozumiano?

- Mogę chociaż wynająć rower?

- Jasne. Państwem rządzą lokalni szefowie Partii, jak kacykowie z dawnych lat. Oni ustalają zasady, a centralny rząd w Hanoi ciągle zmienia prawa dotyczące obcokrajowców. Tworzy to chaos, ale wiele restrykcji można obejść, dotując kluczowe jednostki. Kiedy tam byłem, wystarczało pięć dolarów. W porządku?

- W porządku.



- Są też autobusy międzymiastowe - męczybusy, jak je nazywają. Dowiesz się dlaczego, jeśli będziesz musiał z nich skorzystać. Jest też stara francuska linia kolejowa wzdłuż wybrzeża, którą ponownie uruchomili. W trakcie święta Tet nie będzie dostępnych biletów publicznego transportu, ale piątek znajdzie ci miejsce we wszystkim, co się porusza, poza samolotem. Lokalnych lotnisk powinieneś unikać jak ognia. Za dużo ochrony.

- Czy wspominałem, że chciałem się wybrać na Arubę?

- To jest dużo poważniejsza sprawa, a pogoda będzie równie dobra.

- Pewnie. Kontynuuj, proszę.

- Dziękuję - odrzekł. - Odnośnie do podróżowania czy łapówek możesz poprosić o radę swój kontakt w Sajgonie. On powinien wiedzieć, jak należy się zachowywać. Ale nie zdradzaj mu szczegółów.

- Dobrze.

- Do czasu, kiedy dotrzesz do Hue, przy odrobinie szczęścia będziemy mieli dla ciebie przynajmniej lokalizację rodzinnej wioski Tran Van Vinha, Tam Ki. Z powodu święta Tet jest duża szansa, że spotkasz tam wielu członków rodziny Tran. - Spojrzał na mnie. - Tak?

- Przyszło mi na myśl, panie Conway - odparłem - że informacja o tym morderstwie ujrzała światło dzienne nie parę dni, lecz parę tygodni, a może nawet miesięcy temu i że specjalnie czekaliście na święto Tet, żeby wysłać mnie do Wietnamu, ponieważ wtedy właśnie ludzie wracają do swoich rodzinnych wiosek, poza tym siły bezpieczeństwa i policja są najmniej efektywne.

Pan Conway uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Nie wiem, kiedy otrzymaliśmy tę informację i co twoi szefowie wiedzą o tym, czego ty i być może ja nie wiemy. Ale jest to niezwykły szczęśliwy zbieg okoliczności, że będziesz w Wietnamie w trakcie tego święta. - Po chwili dodał jeszcze:

- W trakcie Tet w sześćdziesiątym ósmym komuniści przyłapali was ze spuszczonej spodniami. Może teraz uda ci się im odwdzięczyć.

- Ciekawa myśl. Taka symetryczna jak waga Temidy. Ale głównie mnie obchodzi zemsta. Ta cholerna wojna się skończyła. Skoro już to robię, nie potrzebuję ani nie chcę osobistego motywu. Wykonuję tę robotę, bo taki mam rozkaz. Zrozumiano?

- Nie wymyśl sobie tylko jakiegoś osobistego motywu, kiedy się tam znajdziesz.

Nie odpowiedziałem.

- W porządku, w Hue masz spotkanie w niedzielę, ale jeśli w żaden sposób nie uda ci się tam dotrzeć, awaryjnym dniem jest poniedziałek. Kontakt znajdzie cię w hotelu. Jeżeli się z tobą nie spotka, będzie to znak, żebyś się ewakuował z kraju. I to szybko. Jasne?

Przytaknąłem.

- Przyjmując, że wszystko pójdzie gładko, opuścisz Hue we wtorek. To będzie najtrudniejsza część wycieczki. Musisz się wszelkimi dostępnymi środkami udać do

Tam Ki i być tam w ciągu dwóch, najwyżej trzech dni. Dlaczego? Ponieważ święto Tet trwa cztery dni, licząc od Nowego Roku, więc wszyscy powinni jeszcze znajdować się w domach swoich przodków, zanim nie wyniosą się z powrotem do swoich domów. Ten Tran Van Vinh może w Tam Ki mieszkać cały czas, ale tego nie wiemy. Najlepiej tam się zjawić, kiedy na pewno i on tam będzie. Jasne?

Znowu przytaknąłem.

- W każdym wypadku: zwycięstwa, przegranej czy wymiany kart, powinieneś być w Hanoi nie później niż w następną niedzielę, piętnastego dnia twojej podróży. Będziesz miał rezerwację w hotelu Sofitel Metropole. Mam dla ciebie potwierdzenie.

Poklepał swoją plastikową torbę.

- W Hanoi ktoś może się z tobą skontaktować. Może też być inaczej. Najważniejsze, że wylatujesz następnego dnia, w niedzielę, szesnastego dnia twojej podróży, na długo, zanim upłynie termin ważności twojej dwudziestojednodniowej wizy. Chwytasz?

- Chciałbym pozwiedzać Hanoi.

- Nie, chciałbyś się stamtąd wydostać najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Brzmi jeszcze lepiej.

- Będziesz leciał liniami Cathay Pacific z Hanoi do Bangkoku w niedzielę. Tam spotka się z tobą ktoś, komu zdasz raport.

- A jeśli wyląduję w więzieniu? Czy w takim wypadku powinienem przedłużyć sobie wizę?

Pan Conway się uśmiechnął, ale zignorował moje pytanie i powiedział:

- Kwestia pieniędzy. W tej torbie znajduje się koperta, a w niej tysiąc dolarów USA w jedno-, pięcio- i dziesięciodolarówkach. Różne serie. Możesz legalnie płacić zielonymi w Socjalistycznej Republice Wietnamu. Szczerze mówiąc, oni nawet tak wolą. Poza tym w torbie znajdziesz milion dongów, czyli jakieś półtora dolara - żartuję. Jakies sto dolarów, na początek. Przeciętny Wietnamczyk zarabia trzysta do czterystu dolarów w roku, jesteś więc bogaty. Poza tym masz jeszcze kolejny tysiąc w czekach podróżnych American Express, które akceptują co lepsze hotele i restauracje, a niektóre banki w pewne dni mogą je wymieniać na dongi, w zależności od ich humoru. Są też biura American Express w Sajgonie, Hue i Hanoi - wszystkie te informacje znajdziesz w swoim przewodniku. Armia będzie ci tymczasowo płacić pięćset dolarów dziennie, kiedy więc wrócisz, dostaniesz ładny czek.

Po chwili dodał:

- Czas spędzony w więzieniu jest płatny podwójnie.

Spojrzałem na Conwaya i zobaczyłem, że nie żartuje. Zapytałem:

- Przez ile dni?

- Nie wiem. Nie pytałem. Mam się dowiedzieć?

- Nie. Coś jeszcze?

- Kilka spraw, jak na przykład wydostanie się z kraju. Tak jak mówiłem: Cathey Pacific z Hanoi, ale mówiłem też, że sprawy mogą się wcześniej skomplikować. Mamy kilka planów na wypadek, gdybyś musiał wyjechać wcześniej. Chcesz o nich posłuchać?

- W tym temacie masz moją całkowitą, niepodzielną uwagę.

Pan Conway zarysował kilka metod opuszczenia Wietnamu przez Laos, Kambodżę i Chiny łodzią, a nawet samolotem transportowym z Da Nang. Nie za bardzo mi się one podobały i nie do końca w nie wierzyłem, ale nic nie powiedziałem.

- Wracając do Tam Ki - powiedział Conway. - To jest to twoja ostatnia lokalizacja przed Hanoi. W ten czy inny sposób znajdziemy to miejsce i najpóźniej w Hue dostarczymy ci niezbędne informacje. Kiedy już będziesz w Tam Ki, spotkasz wielu ludzi o nazwisku Tran. Możesz potrzebować tłumacza, bo po angielsku za bardzo się nie dogadasz. Jasne?

- Jasne.

- Znasz odrobinę francuski, prawda?

- Naprawdę odrobinę.

- Czasami starsi ludzie oraz kler katolicki mówią po francusku. Postaraj się jednak o anglojęzycznego tłumacza albo przewodnika. Nie muszę ci mówić, że Amerykanin rozpytujący o gościa o nazwisku Tran Van Vinh w malutkiej wiosce na północy kraju może przyciągać uwagę. Pomyśl więc, jak temu zaradzić. Jesteś gliną, już to robiłeś. Wyczuj sytuację, ludzi...

- Rozumiem. Mów dalej.

- Ja osobiście uważam - mówił dalej pan Conway - że Tran Van Vinh nie żyje. Na pewno. Wojna, jego wiek i tak dalej. Jeśli został zabity w czasie wojny, jego ciało musi znajdować się gdzieś indziej, jak ciało jego brata w dolinie A Shau. Ale będzie tam rodzinna kapliczka poświęcona jego pamięci. Potrzebujemy od ciebie stuprocentowego potwierdzenia jego śmierci. Sierżant Tran Van Vinh, w wieku między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat, służył w Armii Ludowej, świadek działań w Quang Tri, zmarły brat Tran Quan Lee...

- Przyjąłem.

- W porządku. Z drugiej strony może jednak być wśród żywych - w Tam Ki lub gdziekolwiek indziej.

- Jasne. Teraz jednak nadchodzi moment, w którym nie jestem pewien celu mojej misji. Co mam zrobić, jeśli jednak znajdę pana Tran Van Vinha całego i zdrowego?

Conway spojrzał mi w oczy.

- A gdybym ci powiedział, że masz go zabić? - zapytał.

Utrzymaliśmy kontakt wzrokowy. Powiedziałem:

- Wiesz co? Ja go znajdę, w y go zabijcie. Ale lepiej, żebyście mieli dobry powód.

- Myślę, że kiedy z nim porozmawiasz, sam odkryjesz powód.

- Nie chcę być współodpowiedzialny.
- Nie bądź melodramatyczny.
- Przepraszam, wydawało mi się, że sam zacząłeś mówić w tym tonie.

- Nie, mówimy o realiach. Oto cel misji w prostym języku: najpierw dowiedz się, czy ten facet żyje, czy nie. Jeśli nie żyje, zdobądź dowód. Jeśli żyje, dowiedz się, czy mieszka w Tam Ki, czy gdzieś indziej, po czym porozmawiaj z nim na temat incydentu z lutego 1968 roku i sprawdź, co pamięta oraz czy jest w stanie zidentyfikować sprawcę ze zdjęć, które ci prześlemy. Jak przeczytasz w liście, Tran Van Vinh zabrał ofierze morderstwa kilka rzeczy - oni tak samo jak my zbierali pamiętki. Prawdopodobnie wciąż ma te przedmioty, a jeżeli nie żyje, jego rodzina będzie je mieć - nieśmiertelniki, portfel, cokolwiek. Dzięki temu zidentyfikujemy zamordowanego porucznika, poza tym połączy to Tran Van Vinha z morderstwem, czyniąc go wiarygodnym świadkiem.

- A my nie chcemy żywego wiarygodnego świadka.

Pan Conway nic nie odrzekł. Dokończyłem kawę i powiedziałem:

- Tak więc jeśli znajdę Tran Van Vinha żywego, mam sprawdzić, czy zidentyfikuje zdjęcia, które może dostanę po drodze, i obejrzeć jego pamiętki, a może odkupić je od niego lub jego rodziny, jeżeli nie żyje, i może wywieźć tego faceta z kraju albo może go nagrać i (lub) zostawić go w spokoju, albo może dać panu Eaganowi w ambasadzie w Hanoi jego adres, żeby wydarzyło się to, co ma się z Tran Van Vinhem wydarzyć. A jeśli jest martwy, chcecie mieć dowód.

- To by chyba było na tyle. Improvizujemy. Skontaktujemy się z tobą w Sajgonie. Najpóźniej w Hue. Nadal trwa dyskusja, jak powinniśmy się w tej sytuacji zachować.

- Dajcie mi znać, co postanowicie.
- Damy. Jeszcze jakieś pytania?
- Nie.

Pan Conway przybrał nagle oficjalny ton i spytał:

- Panie Brenner, czy rozumie pan wszystko, co dotąd panu powiedziałem?
- Nie tylko. Rozumiem też trochę rzeczy, których mi nie powiedziałeś.

Zignorował mnie i ciągnął dalej:

- Czy pamięta pan wszystkie instrukcje, które panu przekazałem?
- Tak.
- Czy ma pan w tym momencie jakieś pytania?
- Czy mogę zapytać, dlaczego chcecie załatwić tego faceta?
- Nie rozumiem pytania. Coś jeszcze?
- Nie.

Doug Conway wstał. Ja również. Powiedział:

- Twój samolot odlatuje za godzinę. Podróżujesz klasą biznesową, co nie jest

zbyt ekstrawaganckie jak na twój styl życia. W rubryce „zawód” na twojej wizie wpisano „emeryt”, cel twojej wizyty określono jako „turystyczny”. Istnieje ryzyko, że mężczyzna w twoim wieku, podróżujący samotnie, może zostać zatrzymany i przesłuchany na Tran Son Nhat. Kiedy wracałem sam, spędziłem pół godziny w pokoju przesłuchań z pewnym gnany paranoją facecikiem. Zachowaj spokój, nie atakuj, trzymaj się swojej wersji, a gdy wypłynie sprawa wojny, wciśnij mu trochę kitu w rodzaju: „Jakie to musiało być straszne doświadczenie dla pana kraju”. Wyraż skruchę i żal czy coś w tym stylu. Oni to uwielbiają. Jasne?

- Czyli raczej nie powinienem wspominać, że zabijałem północnowietnamskich żołnierzy?

- Na twoim miejscu bym tego nie robił. Mogliby cię nie polubić. Ale mów szczerze o tym, że jesteś weteranem z Wietnamu i że chcia łeś odwiedzić różne miejsca, które widziałeś jako młody żołnierz. Powiedz, że byłeś kucharzem albo na przykład urzędnikiem. Nie walczącym żołnierzem. Oni tego nie lubią, czego doświadczyłem na własnej skórze. Jasne?

- Zrozumiano.

- Kiedy dotrzesz do hotelu, nie próbuj się z nami kontaktować. Hotele czasami przechowują kopie faksów, które wysyłasz, a miejscowa policja czasami je przegląda. To samo z komórkami. Wszystkie wybierane numery są zachowywane w celu ściągnięcia należności, jak na całym świecie, ale u nich są one również dostępne dla policji. Poza tym rozmowy mogą być podsłuchiwane.

Już to wszystko wiedziałem, ale Conway musiał przebrnąć przez całą listę, którą miał w głowie.

- Twój kontakt w Sajgonie sprawdzi, czy pojawiłeś się w hotelu Rex - poinformował mnie. - Telefony miejscowe nie wzbudzają podejrzeń. Przekaze nam tę informację za pomocą bezpiecznego faksu z siedziby jakiejś amerykańskiej firmy. Jeśli więc z jakiegoś powodu nie dotrzesz do hotelu, będziemy o tym wiedzieli.

- Po co wam ta wiedza?

- Przeprowadzimy dochodzenie.

- Dzięki.

- Dobra, w tej torbie jest też dwudziestojednodniowy zapas pigułek przeciwko malarii. Powinieneś był zacząć je brać cztery dni temu, ale nie masz powodu do obaw - trzy dni spędzisz w Sajgonie, gdzie nie ma roznoszących malarię moskitów. Weź jedną tabletkę teraz. Jest tam też antybiotyk, którego, mam nadzieję, nie będziesz potrzebował. Generalnie unikaj picia wody i jedzenia surowizny. Możesz nabawić się żółtaczkę pokarmowej, ale zanim wystąpią pierwsze objawy, wrócisz już do domu. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, że się tam wybierasz, dostałbyś szczepionkę...

- Już od pewnego czasu wiecie, że jadę - to ja tego nie wiedziałem.

- Już dobrze, dobrze. W samolocie przeczytaj swój przewodnik Lonely Planet. W torbie znajdziesz przetłumaczony list. Też go przeczytaj, ale pozbądź się podczas przesiadki w Seulu.

- O, a ja chciałem mieć go przy sobie na Tan Son Nhat.

- Przepraszam, jeśli podczas tej odprawy obraziłem pana inteligencję lub profesjonalizm, panie Brenner. Po prostu wypełniam swoje rozkazy. - Spojrzał na mnie i dodał: - Karl powiedział, że mogę cię nie polubić, ale cię polubiłem. Mam więc dla ciebie przyjacielską radę: jest szansa, że dowiesz się w trakcie tej podróży więcej, niż powinieneś wiedzieć. Co się wydarzy, kiedy to odkryjesz, zdeteminuje, co później wydarzy się z tobą.

Patrzyliśmy na siebie z panem Dougiem Conwayem naprawdę bardzo długo. Zdrowy na umyśle człowiek wyszedłby z tego pokoju i rzucił całą tę sprawę w diabły. Ale Conway nie przeliczył się w swojej kalkulacji - ta groźba nie przestraszyła Paula Brennera. Pan Brenner był teraz bardziej niż dotąd zaciekawiony i zmotywowany, żeby dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Paul Brenner był idiotą.

Pan Conway odchrząknął i powiedział:

- Dobra. W Seulu będziesz miał dłuższą przerwę w podróży. Spędź ją w poczekalni Asiana. Może znajdzie się tam ktoś z jakimiś informacjami dla ciebie. A jeśli okaże się, że misję odwołano, tam zostaniesz zawrócony. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić w tym momencie? - zapytał Doug Conway. - Jakies wiadomości do przekazania, instrukcje, sprawy osobiste, w których mógłbym pomóc?

- Szczerze mówiąc, tak. - Wyjąłem z kieszeni kopertę. - Potrzebuję biletu lotniczego z Bangkoku do Honolulu, rezerwacji w hotelu w Honolulu na kilka dni, potem Maui. Oto zaplanowana marszruta i mój numer American Express.

Pan Conway wziął kopertę, ale powiedział:

- Wydaje mi się, że będą potrzebować cię w Waszyngtonie.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę dwóch tygodni w raj. Złożę raport w Bangkoku.

- W porządku. - Schował kopertę do kieszeni. - Coś jeszcze?

- Nie.

- Zatem powodzenia. Bądź ostrożny.

Nie odpowiedziałem.

- Możesz mi wierzyć - dodał - że niezależnie od twojej misji ta wycieczka przyniesie ci więcej korzyści niż szkody.

- Wiesz, pomijając wojnę, moje dwie poprzednie wycieczki też byłyby bardzo przyjemne.

Twarz pana Conwaya nie drgnęła.

- Mam nadzieję, że wykonałem dobrą robotę przy tej odprawie - powiedział. - Zawsze się tym przejmuję.

- Wykonał pan świetną robotę, panie Conway. Życzę dobrej nocy.

- Dziękuję.

Wyciągnął dłoń, lecz ja powiedziałem:

- Chwileczkę, omal bym zapomniał.

Otworzyłem torbę podróżną i podałem mu książkę Danielle Steel. Spojrzał na nią ciekawie, jakby doszukiwał się w niej jakiegoś szczególnego znaczenia.

- Nie chcę, żeby ktoś ją u mnie znalazł - wyjaśniłem - gdybym nie wrócił. Rozumiesz. Daj ją komuś. Nie musisz sam jej czytać.

Pan Conway spojrział na mnie z pewną troską, po czym znów wyciągnął dłoń, którą potrząsałem. Wyszedł, nawet nie dziękując mi za książkę.

Otworzyłem pozostawioną na stole plastikową torbę i schowałem do niej pieniądze, bilety, rezerwacje hotelowe. Wizę włożyłem do kieszeni na piersi. Tabletki na malarię, antybiotyk i przewodnik The Lonely Planet wrzuciłem do torby podróżnej.

Na dnie plastikowej torby leżało coś owiniętego w bibułę. Odpakowałem to i zobaczyłem jedną z tych głupich śnieżnych szklanych kul. Wewnątrz umieszczono miniaturę Ściany, czarnej na tle padającego śniegu.

# Przypisy

[1](#) *Criminal Investigation Division* (Wydział Dochodzeń Kryminalnych) – wydział operacyjny Komendy Dochodzeń Kryminalnych Armii Stanów Zjednoczonych [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

[2](#) *Vietnam Veterans of America*.

[3](#) Dowództwo Misji Wojskowych w Wietnamie.

[4](#) Jankesi, drużyna baseballowa.



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).